EPOKA

ROK VI. Warszawa, 15 lipca 1939 r. ROK VI. Nr 20 (159)

Treść: W 150 lecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej. — Grunwald. — Ankieta „Epoki": Odpowiedź Suzanne Lacore. — *HENRYK LUKREC:* Pizarrowie XX stulecia. — Dekada polityczna: Uwaga na manewry! Polska nie ma nic do ustąpienia. Pan Déat przypomina się. Plan neo-monachijski. Zmieniona rola Watykanu. Mowa Chamberlain'a. Granice możliwości monachijskich. Na wschodzie bez zmian. — *STANISŁAW CZOSNOWSKI:* Start nowoczesnego parlamentaryzmu. — Z dnia na dzień: Zbyteczny Wersal. Hacha straszy! Totalizm — wylęgarnia Hachów. Berlińskie ciągoty. Żołnierz i lud. Ich walka z antysemityzmem. — *KAZIMIERZ LUK:* André Malraux — pisarz romantyczny. — *KAZIMIERZ NOWAK:* O samorodnej literaturze chłopskiej. — Zapiski bibliograficzne. O etykę życia akademickiego. — Karta I. R. A.

Contre nous de la tyrannie!

150-lecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej

Nie wiele jest narodów, których tradycja tak dalece i nierozerwalnie wiązałaby się z tradycją wolności — jak u Francuzów. Ich Wielka Rewolucja, której 150 rocznicę obchodzi obecnie nie tylko Francja ale i cały świat cywilizowany, była bowiem porywem najprawdziwiej, najrdzenniej narodowym. Była najpiękniejszym i najtrwalszym dziełem geniuszu francuskiego — właśnie przez to i jedynie przez to, że zrodziła się z wolnościowych heroicznych dążeń ludu Francji, że stała się wielką epopeją ludowej walki z uciskiem i przemocą.

Podnosząc w dniu 14 lipca 1789 roku sztandar własnego wyzwolenia lud francuski wskazał wszystkim narodom drogę do wolności, drogę do zwycięstwa nad tyranią i barbarzyństwem. Wielka Rewolucja nie była wszak dziełem bogatego mieszczaństwa, które miało później zebrać jej plony. To lud francuski, paryscy sankiuloci i chłopi szturmujący feodalne pałace, był prawdziwym twórcą i bohaterem tego wielkiego przewrotu, który przeobraził Francję i Europę. Francja nowa, demokratyczna i republikańska Francja, która zrodziła się w ogniu Rewolucji, była dziełem ludu.

I taka jest ta *prawdziwa* Francja. Demokratyczna, republikańska, ludowa. Francja zdobywców Bastylii i Tuillerii, Francja zwycięzców spod Valmy i Jemappes. Taką pozostała, choć nieraz w ciągu tych lat stu pięćdziesięciu oligarchia pieniądza, magnateria safe'u bankowego, arystokracja giełdowego kuponu próbowała zepchnąć lud, a to znaczy: *naród* francuski, z pozycji zdobytych w Wielkiej Rewolucji. Daremnie! Cofnąć Francję przed rok 1789, odrzucić lud francuski wstecz, do ustroju absolutnego, odebrać mu zdobycze jego Wielkiej Rewolucji — to znaczyłoby przecież nie tylko ujarzmić ponownie naród francuski, ale wprost zniweczyć samą Francję, która w bólach Rewolucji narodziła się jako nowoczesny naród.

Bo naród francuski, zjednoczony i niepodległy naród wolnych Francuzów, jest dzieckiem Rewolucji. Zburzenie Bastylii, pierwszy triumf demokracji francuskiej, było jednocześnie pierwszym, świadomym czynem politycznym narodu francuskiego. Demokratyczna rewolucja była prawdziwie narodową, w tym istotnie wolnościowym i postępowym znaczeniu, jakie miała później, w wieku XIX, także u walczących o niepodległość Polaków. To też odbudowa Bastylii, wzniesienie na gruzach demokratycznej republiki francuskiej nowego systemu despotycznego byłoby początkiem końca Francji narodowej i niepodległej, byłoby tragedią Europy i katastrofą dla całej cywilizowanej ludzkości.

W walce o wolność i w obronie wolności, w walce z despotią narodził się naród francuski, dojrzał i zmężniał. Druzgocąc wewnętrzną reakcję gromił jednocześnie najezdnicze armie potężnych monarchów, sprzymierzonych dla świętej walki z narodem, który zapragnął być wolnym i urządzić sobie życie wedle własnych ideałów. *Contre nous de la tyrannie* — przeciw nam tyrania rodzima i zagraniczna — woła dumna pieśń rewolucyjnej Francji, ów porywający hymn marsylskich ochotników armii ludowej, który pozostał do dnia dzisiejszego narodowym hymnem wolności.

Z kim walczył w tych bohaterskich latach wielki naród francuski? Któż to pokusił się o ponowne ujarzmienie go, o nałożenie mu skruszonych tak nie dawno kajdan?

Des traîtres, des rois conjurés: zdrajcy i króle sprzysiężeni na wolność Francji — oto był wróg, zaciekły i okrutny, z którym walczyć przyszło rewolucyjnemu ludowi. Ten wróg został pobity na głowę w kraju i odparty od granic Francji. Ojczyzna była uratowana. Zdrajcy ojczyzny, francuscy reakcjoniści, którzy przeciw własnemu ludowi wezwali pomocy zagranicznych królów, wyrzuceni zostali poza nawias życia narodowego. Blady strach padł na królów, którzy pod pozorem „przywracania porządku" szukali we Francji łatwych zdobyczy. Korony zachwiały się na ich głowach...

Ta walka z potężnym sprzysiężeniem rodzimej i międzynarodowej reakcji stanowi istotną treść Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

I to jest prawdziwa, bohaterska tradycja narodu francuskiego, tradycja, której nie zniweczą żadne usiłowania podejmowane dziś we Francji i poza jej granicami. *Des traîtres, des rois conjurés* i dziś jednoczą się przeciw ludowi francuskiemu, przeciw ludom całej Europy. Przeciw wolnym narodom, przeciw demokracji europejskiej rusza nowe sprzysiężenie despotów i nowi zdrajcy torują im drogę do nowych podbojów.

Contre nous de la tyrannie — jak wtedy, w wielkich latach jakobińskiej epopei. Ale dziś już nie tylko przeciw Francji, nie tylko przeciw ludowi francuskiemu. Nowa tyrania zagraża wszystkim ludom, całej Europie. Chce ujarzmić wolne narody, odebrać im *prawa człowieka i obywatela,* wywalczone krwią całych pokoleń, zamienić je w stada niewolników. Nowa, straszliwa Bastylia ma być wzniesiona nad Europą.

I dlatego cała, miłująca wolność i zdecydowana jej bronić, Europa, cały świat cywilizowany składa dziś hołd bohaterom Wielkiej Rewolucji Francuskiej, zdobywcom paryskiej Bastylii. Dlatego 150 rocznica tego wiekopomnego czynu nie jest tylko narodowym świętem Francji, ani nawet świętem francuskiej demokracji. Kto wie, czy w ogóle rocznicę tę godzi się nazwać świętem, skoro w obliczu nowej, agresywnej tyranii powinna ona stać się raczej powszechną mobilizacją wszystkich sił wolnościowych i postępowych całej Europy, wszystkich zagrożonych przez nową despotię narodów, które dla uratowania swej niepodległości jednoczą się dziś w wielkim Bloku Obrony.

W tym duchu najgodniej uczcimy pamięć bohaterskich zdobywców Bastylii.

Grunwald

529 rocznica

W roku bieżącym nie przypada żadna „zaokrąglona" rocznica bitwy grunwaldzkiej. Liczba 529 jest zupełnie niepozorna; ani 500, ani 550, ani nawet 525.

Jeżeli jednak rocznicę tę Polska przypomina dziś sobie i światu, dzieje się to dlatego, że Grunwald jest dla nas pewnym, ciągle żywym, symbolem. W roku bieżącym symbol ten nabiera szczególnego znaczenia, posiada najbardziej aktualną wymowę polityczną.

Pół tysiąclecia z górą dzieli nas od tego dnia 15 lipca 1410 roku, który stał się dniem triumfu walczącej w swej obronie Polski i dniem klęski niemieckiego najeźdźcy. Grunwald wykazał, że kraj nasz, jeżeli przeciwstawi niemieckiemu „Drang nach Osten" twardą i nieustępliwą wolę obrony, nie padnie łupem zaborcy, nie stanie się jego przestrzenią życiową. Pangermańska nawała może być powstrzymana i odrzucona wstecz. Potęga niemiecka nie jest niezwyciężona.

Jak wtedy, tak i dziś kraj nasz w razie potrzeby znajdzie siłę i stanowczość dla obrony swych ziem i praw, swej niepodległości. Przywiązana głęboko do pokoju, Polska nie ma żadnych zaborczych aspiracyj, nie pragnie wojny i żadnego powodu do niej nie da. Ale pod żadnym pozorem nie odstąpi od tego, co jest JEJ podstawą życiową. Rezygnacja z naszego dostępu do Bałtyku w tym zakresie, jaki obecnie posiadamy, nie da się ani siłą wymusić, ani podstępem wyłudzić. Kto sądzi inaczej, musi być przygotowany na bardzo ciężki zawód.

Gdyby więc wbrew zdrowemu rozsądkowi spadkobiercy polityki krzyżackiej spróbowali siłą urzeczywistnić swe fantastyczne plany zaborcze, gdyby istotnie zapragnęli odepchnąć Polskę od Bałtyku i zredukować ją do roli klienta Rzeszy Niemieckiej—wtedy naród polski odpowiedziałby nowym Grunwaldem.

Na tym właśnie polega polityczny sens rocznicy boju grunwaldzkiego.

Z Francji nadesłali w dalszym ciągu odpowiedzi na ankietę „Epoki": GABRIEL CUDENET, prezes partii radykalno-socjalistycznej „Camille Pelletan", PROF. JAVILLIER, członek Instytutu, J. HADAMARD, sławny matematyk, członek Instytutu i profesor Collège de France, MARCEL PRENANT, znakomity biolog, profesor Sorbony, oraz ANDRÉE VIOLLIS, znana publicystka. Te i dalsze odpowiedzi ukazywać się będą kolejno w najbliższych numerach „Epoki".

ANKIETA „EPOKI"

Odpowiedź Suzanne Lacore

Autorka poniższego artykułu, b. podsekretarka stanu w rządzie Bluma, jest znaną i zasłużoną działaczką społeczną w szeregach S.F.I.O., czynną w robotniczym ruchu oświatowym i samopomocowym.

W dziejach rozwoju ludzkości w ciągu tysiącleci po kolei plemię, szczep, zagroda, gmina, odczuwały *odrębnie,* jako grupa społeczna, ciosy lub następstwa faktów, wstrząsających ich życiem wewnętrznym.

Walki? Zapewne — były liczne i zaciekłe, ale zlokalizowane, określone w przestrzeni. Wspólnota żyła — względnie — w „swoim" domu, uprawiała „swój" ogród gminny, prowincjonalny, narodowy, lub walczyła w sąsiedztwie, w pobliżu.

Taka była przeszłość.

Dziś i już od dawna, świat wkroczył w sferę międzynarodową, w niej rozwija się i wzrasta.

Ponad granicami i „chińskimi murami", wzniesionymi przez brak rozsądku i „święty egoizm" narodów, wytworzyło się życie do pewnego stopnia „planetarne", nie umniejszające ducha i geniuszu narodów, lecz wiążące jak w gęstej sieci liczne elementy działalności i życia świata.

Drogi i środki komunikacyjne, wymiana i traktaty handlowe, konwencje wszelkich rodzajów: przemysłowe, finansowe, lotnicze, pocztowe, kolejowe, stosunki intelektualne i kulturalne, wszelkiej natury: naukowe, literackie, filozoficzne; przeróżne objawy myśli, godności, moralności ludzkiej, interpretacja zjawisk ekonomicznych i społecznych wszystkich krajów, wzajemna zależność potrzeb i warunków życiowych narodów; solidarność uprzywilejowanych mocarstw kapitalizmu i organizacja wyzwoleńcza robotników: wszystko to obraca się w sferze międzynarodowości, wszystko mówi o internacjonalizmie.

Ziemia nie jest sumą kontynentów, zaludnionych nieznanymi rasami, nie wiedzącymi o sobie wzajemnie. Nauka i praca ludzka ustawicznie powiększają obszar stref, które dotychczas pozostawały poza ich zasięgiem, dopełniają tam dzieła ekspansji cywilizacyjnej, zaciągając między rasami wszystkich szerokości geograficznych węzeł — stworzony, lub wzmocniony — węzeł solidarności ludzkiej.

Podczas kiedy świat przekształca się materialnie, walki społeczne, zrodzone z rozbieżności i przeciwieństwa interesów klasowych wykazują wyraźnie charakter międzynarodowy.

Aby utrzymać swe wspólne prerogatywy, główni władcy źródeł materialnych społecznego bogactwa łączą swe środki działania i jednoczą międzynarodowo swe wysiłki. Podobnie pracownicy umysłowi i fizyczni szukają wspólnej drogi do wolności w zjednoczeniu zawodowym i politycznym w łonie międzynarodowej organizacji swojej klasy. *Oto fakt.*

Jest on zarazem generatorem postępu i ruchów wstecznych, bohaterskich poświęceń dla sprawy przyszłości i szału nienawiści oraz strachu. Przeciwstawia wszędzie bojowników wolności, sprawiedliwości społecznej, pokoju — co jest nierozdzielne — poszanowania wartości duchowych, wszystkiego co zapewnia postęp i wzniesienie ludzkie — zwolennikom ujarzmienia słabych, zwolennikom strachu, zachłannych egoizmów i całego pancernego barbarzyństwa międzynarodowego faszyzmu.

Daje sercom ludzkim wielką nadzieję wyzwolenia i podtrzymuje jednocześnie — kwestia stosunku sił — pod ustawiczną groźbą powszechnej pożogi.

Tych kilka refleksyj pozwala mi krótko odpowiedzieć na postawione pytania. W gmatwaninie interesów narodowych, walczących o bogactwa i rynki świata, oraz wobec woli ekspansji faszyzmu hitlerowskiego — rozkazującego innym — problemy, które wczoraj jeszcze były pozornie bez znaczenia, wysuwają się nagle na pierwszy plan uwagi państw. Z dnia na dzień jakieś miasto, port, skała może stać się równocześnie cennym dla napastnika punktem strategicznym oraz punktem newralgicznym sytuacji europejskiej i światowej. Jego wybór zależy od położenia punktu kluczowego, otwierającego na oścież ujścia dla ambicyj faszyzmu, dla jego woli panowania i hegemonii. Nazwy: Minorka, Dżibuti, Kłajpeda, Gdańsk i wiele innych jeszcze, dźwięczały wczoraj i będą dźwięczały jutro, jak groźba wojny, ponieważ ośrodki te zawierają oprócz możliwości penetracji faszystowskiej, pewność punktów oparcia dla dalszych podbojów imperialistycznych.

To znaczy, że agresja, której przedmiotem mogłaby być Polska, zagroziłaby bezpośrednio pokojowi europejskiemu.

Ustąpienie Gdańska Niemcom, zamiast usunąć niebezpieczeństwo wojny, zaostrzyłoby je tylko.

Otwarcie hitleryzmowi bramy do krajów bałtyckich oznaczałoby natychmiastowy wzrost jego supremacji, zaakcentowanie groźby wobec portów polskich i wobec Unii Sowieckiej.

Gdańsk, wolne miasto, zaludnione przez Niemców, ale o więzach polskich tak silnie zakorzenionych winno rozwijać się w ramach dotychczasowego ustroju. Wydanie go potędze niemieckiej byłoby utorowaniem drogi do opanowania Bałtyku, a potem zawładnięcia całą Europą.

Konieczne więc wydaje się nam, socjalistom, jak to jasno wyraził nasz kongres w Nantes, przeciwstawienie zamiarom gwałtu niezachwianej woli oporu i koalicji sił pokojowych, dość potężne, aby skłonić rządy osi do wybrania raczej wolnej dyskusji, niż zwycięstwa kosztownego i niepewnego.

Dla realizacji *Frontu Pokoju,* jest pożądany i konieczny pakt angielsko - francusko - sowiecki. I można tylko skarżyć się na zwlekanie z jego zawarciem i podpisaniem.

Uparcie prowadzona kampania prasowa i petycyj ludowych, może tylko pobudzić rządy do zawarcia paktu i wzmocnić nieco ich chwiejne i miękkie stanowisko.

Zdaje się, że pretensje do Rosji Sowieckiej i wrogość do bolszewizmu, sprawiają, że stanowisko kierowniczych czynników jest bojaźliwe, bo pozbawione woli zakończenia bezzwłocznego sprawy.

Nie należy zaniedbać niczego dla ocalenia pokoju.

Organizacja narodowego oporu zbrojnego. Organizacja *Frontu Pokoju* mocarstw demokratycznych, gotowych do wzniesienia zapory wolnych ludów zaborczej żądzy międzynarodowego faszyzmu.

Zwołanie w tej atmosferze bezpieczeństwa, zrodzonej z wielkiej siły pokojowej w służbie wolności, *Międzynarodowej Konferencji* dla przestudiowania wszystkich środków zorganizowania współpracy narodów dla sharmonizowania produkcji ekonomicznej z potrzebami ludzkimi, sprawiedliwego podziału bogactw i zapewnienia w ten sposób, przy stopniowym i kontrolowanym zmniejszaniu zbrojeń, trwałego pokoju.

Na drugim planie, wszystkie elementy pokojowe w społeczeństwie, elementy pokoju, intelektualizmu, porządku moralnego i obrony jednostki ludzkiej, winny być skierowane i zogniskowane we wspólnym celu.

„Imponderabilia“ stanowią wielką siłę przyciągającą dla idei pokoju. Zaniedbywać je, byłoby zbrodniczym błędem.

Międzynarodowa Konferencja Robotnicza, wynikająca z porozumienia sekcyj narodowych, po osiągnięciu u siebie jedności akcji, z wszystkimi gwarancjami lojalności, poszanowania niezależności partyj, co jest dla porozumienia tego konieczne, byłaby najpewniejszym wkładem dla zwycięstwa Pokoju.

Jest obowiązkiem organizacyj robotniczych pracować nad tym z wiarą i zaparciem się siebie. Demokracje i robotnicy zrzeszeni w swoich organizacjach międzynarodowych mogą zapewnić triumf pokoju.

Posiadają największy zasób środków niezbędnych do tej walki i do zwycięstwa. Winni więc pragnąć tego gorąco całą siłą swych przekonań, i wolą stworzenia dla ludzkości lepszego bytu, nie w poniżeniu niewoli, lecz w Pokoju i Wolności.

SUZANNE LACORE.

Pizarrowie XX stulecia

Zaciekłość totalistyczna skłania niektóre organy antydemokratyczne do uporczywego, maniackiego zaprzeczania istnieniu i działaniu bloków ideologicznych. Dla każdego jednak, kto bez monopartyjnych uprzedzeń i zawoalowanych tendencji ocenia dzisiejszą rzeczywistość, jest rzeczą jasną, że przeciw Polsce zwraca się teraz jednolity zaborczy blok faszystowski pod niepodzielną hegemonią Berlina. Nie dość, że Trzecia Rzesza sprawuje w tym bloku naczelne dowództwo polityczne i militarne, lecz także uzbraja go ideologicznie według kanonów i dogmatów swej wiary. Toteż cały faszyzm bez względu na odcienie i źródła jest ideologią antypolskiej agresji, a wszelkie mniej lub więcej wyraźne zerkania w stronę totalizmu są objawem albo nałogowej samoułudy, albo, co gorsza, celową, krecią robotą.

Jak głęboko, w samym rdzeniu tej ideologii tkwią pierwiastki uwstecznienia i poniewierania człowieczeństwa, świadczą nowe zjawiska z ostatnich dni: 1-o układ „handlowy“ między Niemcami i Włochami, zawarty na skórze niemieckiej ludności południowego Tyrolu; 2-o plan obrócenia części inteligencji czeskiej i austriackiej w robotników fizycznych.

Widmo niewolnictwa w ten sposób zmartwychstaje w narodowo-„socjalistycznej“ polityce społecznej i ludnościowej i sprawia, że państwo faszystowskie staje się organizacją właścicieli i handlarzy niewolników, staje się przetwórcą wolnej — w sensie kapitalistycznym — pracy najemnej w pracę niewolniczą, hurtowym dostawcą zakutej w jarzmo siły roboczej.

Powracają upiory wielkich konkwistadorów i kolonizatorów, którzy w ciągu wieków zagrzebywali kolorową ludność tubylczą w peruwiańskich i meksykańskich kopalniach, zaganiali ją imieniem prawa białego człowieka w śmiertelne objęcia żółtej febry na plantacjach kauczuku, albo porywali dziesiątkami tysięcy czarne „bydło“ robocze i przewozili na wielkie jarmarki niewolnicze w południowych stanach Ameryki. Cały zatem wysiłek cywilizowanej ludzkości, dokonany w zaraniu kapitalizmu, wysiłek, okupiony hekatombami ofiar i otchłanią cierpień, ma być przekreślony przez nowoczesne barbarzyństwo. Przecież postępowa rola kapitalizmu, w jego twórczym okresie młodości, polegała na zastąpieniu pracy pańszczyźnianej czy niewolniczej pracą z wolnego najmu robotnika, zmuszonego do sprzedawania swej siły roboczej tylko pod przymusem ekonomicznym, co było niewątpliwie krokiem naprzód w stosunku do tamtych bardziej wstecznych i barbarzyńskich form wyzysku człowieka.

I oto na przykładach ostatnich dni widzimy, jak starczy, zmurszały kapitalizm, nie mogący już własną siłą ostać się wobec potężnych nurtów postępu, ratunek swój widzi w nawrocie już nawet nie do feodalnych, ale wprost do zamierzchłych niewolniczych systemów wyzysku i rządzenia. Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, jeżeli p. Józef Goebbels ogłasza dziś całemu światu, że „wojnę będziemy prowadzić z całym okrucieństwem“, bo tutaj natchnieniem jest mu ten sam duch społeczny i kulturalny, który wskrzesza w całej swej grozie prawdziwe niewolnictwo. Jest to ten sam duch okrucieństwa, który przed wiekami shańbił, splamił honor białego człowieka, duch Cortezów i Pizarrów.

Jeżeli jednak przeprowadzać już analogię, to porównanie napewno nie wypadłoby na korzyść dzisiejszych handlarzy i poganiaczy niewolników, gdyż tamci nie tworzyli żadnej wzniosłej ideologii „narodowego odrodzenia“, lecz tylko zgodnie z swoją naturą oddawali się bezlitosnemu łupiestwu i rozbojowi. Dziś ci zbawcy i samozwańczy przedstawiciele Herrenvolku pod tyleż nędznym co nikczemnym pozorem „walki o nową Europę“ zakuć usiłują w jarzmo białe ludy, które w ich pojęciu są mniej wartościowe.

Z chwilą, kiedy ci „reformatorzy“ targnęli się na cywilizację i uczynili w niej pierwszy wyłom przez zniesienie demokracji i zasady równości narodów, dalsza ewolucja, a raczej staczanie się ku niewolnictwu jest już tylko bezpośrednim następstwem. Zniweczenie wolności politycznej i swobód obywatel-

skich we własnym kraju, ujarzmienie własnego narodu prowadzi nieodwołalnie do podbojów innych krajów i ujarzmiania innych narodów. Aryjski mit, wymierzony pierwotnie przeciwko Żydom, umożliwił teraz obrócenie w niewolników także „aryjskich" Czechów, a nawet rzekomo należących do Herrenvolku Niemców tyrolskich.

Masowy wywóz ludności czeskiej na przymusowe roboty wgłąb Niemiec, oraz przesiedlenie dwustu tysięcy Niemców tyrolskich do Rzeszy — oto jaskrawe dowody tego przetwarzania całych narodów w klasę niewolników na wzór tych, którzy przez faraońskich naganiaczy pędzeni byli do robót przymusowych, do wznoszenia piramid egipskich. Oto najrdzenniejsza, najprawdziwsza społeczno-kulturalna treść ideologii bloku faszystowskiego, — ideologii przeciwpolskiej agresji.

Niezłomna postawa naszego kraju wobec tej nawały budzi uznanie i podziw całego świata cywilizowanego. Ostatnio znów ustami ministra Bonneta oświadczyła sojusznicza Francja: „Polska wie, że może liczyć nie tylko na swe przysłowiowe bohaterstwo, lecz również na poparcie bez zastrzeżeń ze strony Wielkiej Brytanii i Francji przeciwko wszelkiej próbie naruszenia jej niepodległości i praw." To i wiele innych poprzednich oświadczeń, których wagę opinia polska w pełni docenia, posiada oczywiście doniosłą wartość przede wszystkim przez to, że wyraża ono postawę wielkich wolnych ludów, które widzą w tej chwili w Polsce niepokonalną zaporę na drodze pochodu wspólnego wroga, ruszającego na podbój całej Europy. Dlatego też cały nasz patriotyczny ogół musi bronić życia polskiego przed przenikaniem ideologicznej i społecznej treści hitleryzmu, będącej utajonym przewodnikiem pangermańskiej agresji. Musi bronić życia polskiego przed pomysłami monopartyjnego ekskluzywizmu, antydemokratycznego totalizmu i antysemityzmu. Ta nasza walka jest przecież najważniejszą rękojmią serdecznej sympatii wolnych narodów, z którymi łączą nas sojusze. Bo istotne, realne znaczenie wszelkich deklaracji rządów polega przecież nie na czym innym, tylko na żywym, czynnym poparciu ze strony wolnych, demokratycznych społeczeństw, widzących w Polsce potężną redutę oporu przeciw najazdowi nowoczesnych troglodytów.

Stwierdzić jednakże wypada, że działają u nas ośrodki, które w swym reakcyjnym zaślepieniu tej prawdy nie dostrzegają, a ich zachowanie się budzić musi wśród wolnych narodów oddźwięk jaknajbardziej ujemny. Wystarczy wskazać na metody walki z obozem demokratycznym, na uporczywe trwanie przy monopartyjnej koncepcji, przekreślonej przez życie, odrzuconej stanowczo przez naród i utrudniającej pełne i prawdziwe jego zjednoczenie. Wystarczy wskazać na rozstrajanie pracy nowowybranych samorządów, na niesamowity popisowy wyścig antysemityzmu na Ratuszu warszawskim, na norymberskie uchwały „narodowych" inżynierów, na rozbijacką kampanię prasy reakcyjnej.

Tylko przez zrzucenie tych obcych narodowemu duchowi i dziejowej tradycji nalotów, Polska ukaże swe prawdziwe wolnościowe oblicze i siłą rzeczy nie tylko zacieśni naturalny sojusz z wolnymi ludami świata, ale stanie się także dla wielu z nich ogniskiem koncentracyjnym w walce obronnej przeciw Pizarrom XX stulecia. Cały nasz myślący i patriotyczny ogół walczyć więc musi o nienaruszalność i prymat tych niezniszczalnych i nieśmiertelnych wartości, dzięki którym Polska nie zatraciła siebie w długiej nocy rozbiorów i niewoli.

HENRYK LUKREC.

Dekada polityczna

Uwaga na manewry!

„Ambasador Lato" obejmuje rządy! Skończyły się mowy, deklaracje, oświadczenia, nadchodzi czas plażowania, wycieczek wysoko-górskich, odpoczynku! — takie oto radosne wieści roznosi dziś spora część prasy po świecie.

Powiedzmy od razu: wieści grubo przedwczesne, wieści z mocno podejrzanych źródeł. Niewątpliwie, na razie, na chwilę zapanowało pewne odprężenie. Niewątpliwie, w tej chwili nie ma już tego gorączkowego napięcia, jakie mieliśmy przed dwoma tygodniami. Ale cóż z tego?

Trwają przecież wszystkie przyczyny naprężenia. Trwają niemieckie aspiracje wobec Polski. Trwa niemiecki stan pół-mobilizacji, nie zostały odwołane nakazy powołania „na ćwiczenia" poważnej części rezerw niemieckich. Optymiści wskażą nam na urlop niemieckiego wodza naczelnego, gen. von. Keitel. Czyż trzeba im przypominać, że tuż przed skokiem na Pragę i Bratysławę marszałek Goering bawił na włoskiej i francuskiej Riwierze i że zawodowi optymiści traktowali to wtedy, jako objaw poważnego odprężenia?

Czujność jest dziś bardziej wskazana niż kiedykolwiek. Nie tylko dlatego, że w każdej chwili może nastąpić, znienacka, nowy „tygrysi skok". W tym względzie jesteśmy optymistami. Nie wierzymy, by władze wojskowe Rzeczypospolitej wierzyły informacjom inspirowanych przez nie wiadomo kogo dziennikarzy i bodaj na jotę osłabiły swe pogotowie. Trzeba czujności przede wszystkim dlatego, że ten okres krótkiego, pozornego spokoju może być wyzyskany przez Rzeszę dla rozmaitych podejrzanych manewrów, których celem byłoby osłabienie pozycji Polski. Trzeba mieć oczy otwarte na te manewry i w czas je paraliżować. Trzeba przede wszystkim wzmocnić i spoistość Polski na wewnątrz i wzmocnić jej łączność ze wszystkimi państwami pokojowymi na zewnątrz.

Polska nie ma nic do ustąpienia

Trzeba przede wszystkim powtarzać ciągle — i postępować odpowiednio do tego! — że ani w sprawie Gdańska, ani w sprawie słynnej „autostrady" Polska nie ma nic, ale to absolutnie nic do ustąpienia. Istnieją „przyjaciele", którzy mówią nam o wzajemnych ustępstwach. Jakie mogą być te „wzajemne ustępstwa"? To, że mybyśmy zgodzili się

powiedzmy, na Anschluss Gdańska, a Niemcy łaskawie przyznali nam wolny port w tym Gdańsku? Cytujemy przykład oczywiście nierealny. Ale w sytuacji obecnej wszystkie „wzajemne ustępstwa“ mogą się sprowadzić tylko do dwóch rzeczy: albo Niemcy zrezygnują z całości swych żądań i wtedy, rzecz jasna, nie ma ustępstw. Albo zaakceptujemy cokolwiek z żądań niemieckich i wtedy będzie to zawsze ustępstwo jednostronne, ustępstwo z naszej strony. O tym — podług zgodnej opinii całego społeczeństwa — mowy być nie może.

Nic nie mamy do ustąpienia w Gdańsku. I tak ustąpiliśmy za dużo. W Gdańsku i tak rządzi Bawarczyk, poseł na Reichstag niemiecki, a więc poseł do parlamentu obcego mocarstwa. W Gdańsku i tak głowa obcego mocarstwa jest ogłaszana za instancję, decydującą o zachowaniu władz „Wolnego Miasta“. Nie możemy zrezygnować ani z kontroli celnej, ani z udziału we władzach portowych, ani z tych resztek praw, jakie dotąd utrzymali Polacy w Gdańsku. Nie możemy pozwolić na usadowienie się obcego mocarstwa u tchawicy Rzeczypospolitej.

Nie możemy pójść na ustępstwa w sprawie „autostrady“. Niemcy i tak mają wszelkie udogodnienia przy tranzycie przez Pomorze. Niemcy i tak płacą nam za ten tranzyt z dużym opóźnieniem i nie wykorzystują nawet połowy pociągów, stojących do ich dyspozycji. Nie możemy pozwolić na usadowienie się, w jakiejkolwiek formie, niemieckich placówek państwowych na polskiej ziemi.

P. Déat przypomina się.

Uważaliśmy za niezbędne przypomnieć to na wstępie do dekady, gdyż znowu zaczynają się podnosić na Zachodzie głosy niepoprawnych monachijczyków.

P. Déat daje znać o sobie. „Negocier pour Danzig“! — „Trzeba pertraktować o Gdańsk“ — woła w ostatniej „Oeuvre“. Pertraktować? O co? O wycofanie „turystów“ niemieckich z Gdańska, o zwolnienie aresztowanych Polaków, o zasypanie wykopanych ostatnio przez hitlerowców rowów strzeleckich, o zniszczenie tajemniczych budowli na Górze Biskupiej, o zdemontowanie i wrzucenie do morza dziwnie podobnych do armat „maszyn“, znajdujących się w stoczni Schichau? Owszem, prosimy. Ale p. Déat nie zajmuje się takimi drobnostkami. P. Déat uważa, że hitlerowcom jeszcze w Gdańsku dzieje się krzywda. Inaczej by nie krzyczeli (Czesi nie krzyczą — więc dzieje się im dobrze — nieprawdaż?). P. Déat proponuje pertraktować o usunięcie nowych hitlerowskich „krzywd“ w Gdańsku. Jakich? Bank Lazard Frères jeszcze mu tego nie powiedział.

Do „Times“-ów napisał znowu list p. Arnold Wilson, konserwatywny poseł do parlamentu (nie mieszać z Sir Horace Wilsonem, głównym doradcą premiera Chamberlaina i spiritus movens zeszłorocznego Monachium!). F. Wilson odwiedził w ostatnich tygodniach Rzeszę i nałykał się do syta niemieckiej propagandy. Tak do syta, że nieborak powtarza za nią każde słowo. I o Gdańsku i „zupełnie naturalnym dążeniu do uzyskania połączenia z Prusami Wschodnimi“. Jedyna rzecz, która go niepokoi, to problem, jakby upewnić Polaków, że tym razem słowa kanclerza Trzeciej Rzeszy będą święcie dotrzymane, Gdańsk pozostanie zdemilitaryzowany, a „autostrada“ nie będzie użyta do dalszych zakusów na ziemie polskie.

Dowcipy? Niestety, ta sama troska gnębi p. Garvina z „Observera“. I dla niego problem zasadniczy, to sprawa, nie odparcia żądań niemieckich, lecz ograniczenia ich do możliwie małych rozmiarów i uzyskanie gwarancji (jakich, do licha, pieczęci, przysiąg czy zaklęć na Wotana i boginię Freyę?), że będą to doprawdy żądania ostatnie.

Plan neo-monachijski

Oczywiście, wszystkie te wyskoki — jakże sprzeczne z oficjalnymi deklaracjami rządu brytyjskiego i francuskiego! — odpowiadają pewnemu, ściśle określonemu planowi. Berlińscy inspiratorzy neo-monachijskich kombinacji zdają sobie sprawę, że dokładnie podług zeszłorocznego schematu postępować dziś nie można — choćby dlatego, że jest to schemat właśnie zeszłoroczny, znany wszystkim zainteresowanym, którzy mieli już czas poczynić pewne kroki zapobiegawcze wobec prób jego ponownego uruchomienia. Wiele przemawia za tym, że zastosowany będzie tym razem schemat nowy, który nazwalibyśmy, stylem kroniki kryminalnej, „kantem na rozbrojenie i porozumienie gospodarcze“.

Wyglądałby on mniej więcej tak: przede wszystkim w chwili lekkiego, pozornego odprężenia rozpoczęłaby się wielka kampania za rozbrojeniem i porozumieniem. Oczywiście, kampania, prowadzona przez poważnych działaczy „gospodarczych“, nie jakichś tam pacyfistycznych drapichrustów (choć i ich pomoc, jeśli chodzi o monachijską odmianę t. zw. „integralnego pacyfizmu“ jest tu mile widziana). „Pod naciskiem“ tej kampanii oś oświadczyłaby gotowość do bardzo dalekich ustępstw: do tymczasowego odłożenia sprawy kolonii, do daleko idącego rozbrojenia, do porzucenia gospodarki autarkicznej. Wzamian zażądałaby ułatwień gospodarczych, które w tym wypadku — chodzi przecież o zapobieżenie światowej rzezi i zapewnienie „pokoju“ na całe nasze pokolenie! — doprawdy by się opłacały: jakichś kredytów, jakichś ułatwień przy nabywaniu surowców i przy zbycie swych towarów w koloniach francuskich i angielskich. Słowem: idylla.

Z jednym maleńskim „ale“. Jako zadatku oś zażądałaby paru drobnostek: przede wszystkim „ustępstw“ ze strony Polski („Są to już ostatnie me żądania w Europie“ — oświadczy znowu kanclerz Hitler), no i zapewne jakichś drobnych łapówek dla Włoch. I jak przed rokiem Czechów, zaczętoby nas zaklinać, byśmy, dla światowego pokoju, ponieśli tę drobną, nic nie znaczącą ofiarę.

Kampania „gospodarczo-rozbrojeniowa“ już się zaczęła. W „Oeuvre“ pp. Clerc i Elbel raz po raz walą wielkie artykulasy o konieczności porozumienia i ograniczenia zbrojeń, te same melodie zaczynają dźwięczeć coraz mocniej w innych organach starego Monachium. Co ciekawsze: w Kopenhadze odbył się przed kilku tygodniami kongres t. zw. Międzynarodowej Izby Handlowej, którego duszą jest niejaki p. Fentener van Vlissigen, Holender z urodzenia, a członek Rady niemieckiego trustu stalowego i z zawodu kierownik niemiecko-holenderskiego trustu sztucznego jedwabiu. I ten właśnie kongres uchwalił długie rezolucje o konieczności porzucenia „egoistycznej“ gospodarki poszczególnych mocarstw, o potrzebie zliberalizowania handlu międzynarodowego, ograniczenia zbrojeń itd. Uchwalali to m. in.: mianowaniec hitlerowski, kierownik delegacji niemieckiej, p. Lindemann, przedstawiciel reżymu, który zbrojeniom poświęcił całe życie prywatne swego narodu i kierownik delegacji włoskiej, przemysłowiec Pirelli, który na zbrojeniach dorobił się setek milionów.

Zmieniona rola Watykanu

Na tle tych, z wielu i wpływowych ośrodków wychodzących, usiłowań staje się zrozumiałe, mocno zmienione stanowisko Watykanu.

Stoimy wobec dziwnego paradoksu: w roku ubiegłym, kiedy szło o „masońską" ponoć Czechosłowację, Watykan stał niedwuznacznie po stronie „stronnictwa oporu". Nie tylko stanowisko katolików czeskich, pod wodzą prałata Szramka, było nieugięcie „oporowe" i obronne, ale, w światowej skali, wpływy dyplomacji watykańskiej działały wszędzie na rzecz obrony pokoju, na rzecz oporu przeciw brunatnemu niebezpieczeństwu. Dziś, kiedy idzie o Polskę, o wiele bardziej przecież ulegającą wpływom kleru niż dawna Czechosłowacja, stanowisko Watykanu nie jest bynajmniej tak niedwuznaczne, przeciwnie, mnożą się oznaki, że Watykan widziałby wcale chętnie jakieś wyjście pośrednie, ratujące prestiż Hitlera.

Wiadomo już, że z polecenia kół watykańskich kino „Roma", należące do Akcji Katolickiej, zrezygnowało z wyświetlania ostro anty-hitlerowskiego filmu „Zeznania Szpiega". Byłby to symptomat mało ważny, gdyby równocześnie w prasie watykańskiej nie zdarzały się raz po raz dość dziwne rady pod naszym adresem. „Osservatore Romano", który dotąd jedyny z prasy włoskiej tłumaczył Włochom stanowisko Polski, dzisiaj radzi nam załatwić spór o Gdańsk w duchu „obustronnych ustępstw". Związana z Akcją Katolicką mediolańska „Italia" apeluje do polskiego „poczucia europejskości" i w jego imieniu radzi nam dążyć do porozumienia z Rzeszą. My jesteśmy, owszem, do porozumienia skorzy, ale trzeba, żeby o „interesach Europy" pamiętała przede wszystkim Rzesza, bo ona przecież do nas zgłasza pretensje, a nie my do niej.

Oczywiście, i teraz należy strzec się uproszczeń: jeśli Watykan w tej chwili — przede wszystkim ze względu na ewentualność sojuszu Zachodu z Sowietami — zbliża się nieco do Trzeciej Rzeszy i nawet radby jej jakoś ułatwić sytuację wobec Polski, to nie wynika z tego bynajmniej, by miał on identyfikować się z nią, by miał rezygnować z własnego oblicza. Antagonizm Kościoła Katolickiego i hitlerowskiego rasizmu nie zanika, usuwa się tylko na chwilę na dalszy nieco plan. Kto by chciał przedwcześnie już grzebać ten antagonizm, temu przypomnimy, że właśnie teraz Watykan przystąpił do szerszego niż dotąd wyświęcania księży-tubylców w Afryce (ostatnio wyświęcony został biskup — Malgasz), że nie rezygnuje z akcji misyjnej wśród Żydów i że z drugiej strony trwają nadal prześladowania katolików w Rzeszy. Ostatni napad łobuzerii hitlerowskiej na kardynała Innitzera, któremu kapitulacja nie oszczędziła bynajmniej gorzkiego chleba brunatnych prześladowań, napad, który, jak wszystko w Trzeciej Rzeszy, był planowany i organizowany z góry, świadczy o tym najlepiej.

Mowa Chamberlaina

Jako pewną odpowiedź na te wszystkie zabiegi uznać trzeba mowę premiera Chamberlaina w sprawie Gdańska. Jest w niej cały szereg sprecyzowań niezwykle ważnych i niezwykle cennych.

Jest więc przede wszystkim dokładne i wyraźne określenie polskiego stanowiska. „Gdyby jakiekolwiek inne mocarstwo usadowiło się w Gdańsku, mogłoby ono, gdyby zechciało, zamknąć dostęp Polski do morza i w ten sposób wywrzeć na Polskę nacisk ekonomiczny i wojskowy, równający się uduszeniu". Chamberlain stwierdza tutaj, że usadowienie się Rzeszy w Gdańsku oznaczałoby niebezpieczeństwo dla niepodległości Polski.

Jest, następnie, rozprawienie się z kłamstwami niemieckiej propagandy. „Nie ma mowy o żadnym ucisku ludności niemieckiej w Gdańsku, przeciwnie, administracja Wolnego Miasta jest w rękach niemieckich. Te ograniczenia, które są nałożone, nie są tego rodzaju, aby pomniejszały swobodę obywateli gdańskich". Chamberlain stwierdza więc tutaj, że nie ma mowy o jakimkolwiek ucisku Niemców gdańskich, że więc w konsekwencji cała „sprawa Gdańska" jest tylko planowym chwytem akcji niemieckiej, zmierzającej do uzależnienia od siebie Polski. Jest wreszcie powtórzenie zobowiązań brytyjskich wobec Polski. „Zagwarantowaliśmy udzielenie naszej pomocy Polsce w wypadku wyraźnego zagrożenia jej niepodległości, które uzna ona za tak żywotne, że przeciwstawi mu się przy użyciu wszystkich sił narodu, i jesteśmy niezłomnie zdecydowani wypełnić to nasze zobowiązanie". Do tego nie ma doprawdy nic do dodania.

Wolelibyśmy wprawdzie, by w oświadczeniu swym Chamberlain nie mówił o ewentualnych możliwych „poprawkach" obecnego statutu Wolnego Miasta, lub co najmniej stwierdził, że poprawki te w żadnym wypadku nie mogą się dokonać kosztem praw Polski. Dziwne jest również, że Chamberlain zwrócił się do „wszystkich zainteresowanych" z prośbą o unikanie incydentów, w chwili gdy Polska wykazuje do najdalszych granic posuniętą tolerancję wobec wybryków hitlerowskich w Gdańsku. Ale są to, ostatecznie, raczej drobniejsze usterki, które może minęłyby nie zauważone, gdyby nie wspomnienia przeszłości...

Granice możliwości monachijskich

Referowaliśmy o b s z e r n i e to w s z y s t k o, co wskazuje na istnienie i dalszą żywotność tendencji neo-monachijskich na Zachodzie. Czyniliśmy tak nie z przeceniania wpływów monachijskich, nie dlatego, byśmy wierzyli w ich realizację. Przeciwnie, czynimy to poto właśnie, by im zapobiec, by uniemożliwić urzeczywistnienie ich.

Taka jest bowiem obiektywna sytuacja, że nowe Monachium nie może się udać bez zgody Polski. Monachijczycy mogą udzielać nam „życzliwych rad", mogą podejmować próby nacisku, mogą pisać artykuły w gazetach, i podchwytywać rzucane przez Berlin hasełka. Ale nie mogą przeszkodzić jednemu: nie mogą przeszkodzić temu, by opór Polski przeciwko naruszeniu jej praw w Gdańsku, opór zbrojny i zdecydowany, zmusił do wystąpienia mocarstwa zachodnie. Nie chodzi tu o intencje tego czy innego męża stanu. Chodzi o to, że prądy antymonachijskie są zbyt silne, by dać utrzymać się przy władzy rządowi kapitulacji wobec Niemiec, kiedy inni stoją w zbrojnej walce z Rzeszą. Sir John Simon może sprzeciwiać się — wbrew opinii całej niemal Anglii — wciągnięciu do rządu Edena i Churchilla, ale nie będzie on w stanie przeszkodzić, by Churchill, Eden i Duff Cooper narzucili swą politykę rządowi w chwili konfliktu. Tutaj jest kres możliwości monachijskich.

Monachizm rozwija się w zakamarkach, zakulisowanych intrygach, w dusznym powietrzu klik rządowych i dyrektorskich gabinetów trustu. Ale przegrywa on w świetle dnia, w walce o duszę społeczeństw zachodnich. I ten właśnie fakt stanowi jedną z wielkich szans Polski, gotowej do walki o swe prawa.

Na Wschodzie bez zmian

Świadomość tego faktu pozwala nam z względnym spokojem traktować coraz bardziej beznadziejne przeciąganie się pertraktacji moskiewskich. Zdaje się, że już niedługo ogłoszone będą szczegóły tych rokowań i opinia publiczna będzie mogła na podstawie danych faktycznych, a nie plotek dziennikarskich, wyrobić sobie pogląd na to, kto ponosi rzeczywistą odpowiedzialność za tak długie przewlekanie, a być może i rozbicie tych pertraktacji. W każdym razie sytuacja na tym odcinku wygląda nie bardzo powabnie.

Mimo wszystko, trzeba stwierdzić pewne rzeczy. Trzeba odrzucić kategorycznie wszelkie pogłoski, lansowane przez agentów p. Goebbelsa, o mającym jakoby nastąpić zbliżeniu Sowietów do Trzeciej Rzeszy. Pod tym względem oświadczenia wszystkich przedstawicieli Sowietów nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości: zbliżenia takiego nie ma i nie będzie.

Po drugie, nic nie zapowiada, by nawet po rozbiciu pertraktacji Sowiety miały wycofać się z polityki europejskiej. Przeciwnie, wiarygodne źródła mówią o tym, że Sowiety po cichu mobilizują, i że w lipcu będą miały pod bronią 3 mil. żołnierzy. Jeśli uwzględnić, że armia na Dalekim Wschodzie jest od dawna na stopie wojennej, to oznacza to, że Sowiety liczą się z możliwością komplikacji w Europie, komplikacji, w których musiałyby wystąpić czynnie. Że nie wystąpiłyby po stronie Rzeszy, nie ulega dla nas wątpliwości.

Dla Polski na wypadek rozbicia pertaktacji moskiewskich dwie rzeczy stają się szczególnie palące: wzmocnienie naszej armii oddziałami francuskich i brytyjskich wojsk lotniczych, jak tego słusznie żąda płk. Grzędziński, poparty w tej sprawie przez całą niezależną prasę polską. Po drugie, uregulowanie we własnym zakresie stosunków ze wschodnim sąsiadem tak by zabezpieczyć sobie, co najmniej, dostawy materiałów wojennych w razie potrzeby.

Start nowoczesnego parlamentaryzmu

W roku bieżącym przypada 150 rocznica Wielkiej Rewolucji francuskiej. W dniu 5 maja 1789 r. dokonano otwarcia Konstytuanty. B. Mirkine-Guetzewitch, profesor Uniwersytetu paryskiego, ogłasza w „Biuletynie Międzyparlamentarnym" szkic, poświęcony tej rocznicy, w szczególności zaś zagadnieniom techniki funkcjonowania Konstytuanty. Była ona pierwszym nowoczesnym parlamentem na kontynencie Europy. Z niej wywodzą się wszystkie współczesne ustroje parlamentarne. Tym bardziej jest interesującym jak się wówczas w łonie Konstytuanty zarysowywał stosunek władzy wykonawczej do ustawodawczej. To zagadnienie wyodrębniam z artykułu prof. Guetzewitcha i przedstawiam w streszczeniu.

Konstytuanta posiadała dwóch mistrzów: teoretyka ks. Sieyès i praktyka Mirabeau. Pierwszy był twórcą nowoczesnej doktryny konstytucyjnej, drugi — organizatorem praktyki parlamentarnej. Mirabeau jest wielkim protagonistą parlamentaryzmu. Nie naśladuje ślepo Anglii; powie o niej, że wprawdzie Anglia w zakresie praw obywatelskich wyprzedziła Francję o dwa stulecia, ale teraz Francji z kolei przypadnie zaszczyt wyprzedzenia Anglii w ciągu jednego roku.

Oprócz Mirabeau — proroka parlamentaryzmu — niewielu członków Konstytuanty rozumiało zagadnienie rządów parlamentarnych. Cechowała ich pewna, właściwa liberałom, nieufność do władzy wykonawczej. Zagadnienie stosunku władzy wykonawczej do ustawodawczej wypływa już w lipcu 1789. Mirabeau gorąco przeciwstawia się zasadzie, aby Zgromadzeniu narodowemu nie przysługiwało prawo oświadczenia monarsze, że naród stracił zaufanie do jego ministrów. Zasadę taką nazywa niecną i szkaradną (impie et détestable), gdyż narusza ona najistotniejsze prawa ludu i zasadę odpowiedzialności ministrów.

Argumenty i wymowa Mirabeau nie przekonywują całkowicie Konstytuanty. Waha się ona i nie może się zdecydować na wprowadzenie ustroju parlamentarnego. Ustrój ten zresztą w rozumieniu dzisiejszym wówczas nie istniał jeszcze nawet w Anglii, gdzie rząd nie zawsze należał do większości i gabinet — do r. 1830 — nie zawsze ustępował po odrzuceniu przez parlament rządowego projektu.

Członkowie Zgromadzenia Narodowego byli zasugerowani zasadą podziału władz oraz swoją niechęcią do władzy wykonawczej, którą w ich pojęciu uosabiał król, Bastylia i wszystkie nadużycia reżymu.

Mably wołał: Ustawodawca musi wychodzić z założenia, że władza wykonawcza była i po wsze czasy będzie wrogiem władzy ustawodawczej!

Jeden tylko Mirabeau rozumiał istotny sens ustroju parlamentarnego. Ale Konstytuanta (słusznie) nie ufa wielkiemu realiście. Aby nie dopuścić Mirabeu do władzy Konstytuanta uchwaliła dekret, który zakazuje królowi mianowania ministrów spośród deputowanych. Podczas debaty nad tym dekretem rozgoryczony Mirabeau wnosi do niego poprawkę: ograniczyć jego zastosowanie wyłącznie do osoby pana de Mirabeau. — Byłbym szczęśliwy — dodaje — gdybym za cenę swego wyłączenia mógł zachować dla tego zgromadzenia nadzieję ujrzenia kilku jego członków, godnych całkowitego mego zaufania i szacunku, na stanowisku doradców narodu i Króla.

Ale Konstytuanta jeszcze nie daje się przekonać, waha się i lawiruje między rygorystycznym pojmowaniem zasady podziału władz, a systemem parlamentarnym forsowanym przez Mirabeau.

W styczniu 1791 r. Mirabeau zostaje przewodniczącym Zgromadzenia Narodowego. Wykazuje wybitny talent w zakresie praktyki parlamentarnej. Wpływa na redakcję regulaminu w kierunku wyposażenia Przewodniczącego w dostateczną władzę. Przeważa jednak tendencja przeciwna. Mimo to historyk stwierdza, że w języku parlamentarnym tej epoki rzadko się trafiały zwroty

niewłaściwe, persyflaż był zupełnie nieznany, nawet szyderstwo było źle widziane. Członkowie Zgromadzenia zachowywali się bez zarzutu („en galants hommes").

Mimo to debaty Zgromadzenia przeciągały się nadmiernie.

Prof. Guetzewitch wskazuje na przyczynę tego zjawiska. Diagnoza nie jest pozbawiona pewnej aktualnej pikanterii, co skłania mnie do otworzenia cudzysłowu:

„W latach 1789 — 91 nowoczesne pojęcie partii politycznej jest jeszcze sprzeczne z ściśle indywidualistyczną koncepcją przedstawicielstwa narodowego. Ponieważ pojęcie „partii" nie było jeszcze ustalone, istniały tylko zespoły (factions). Posądzenie o należenie do jakiejś grupy było niemal obelgą..."

„Z powodu braku partii obrady zazwyczaj przeciągały się. Wszak to nie przywódcy, delegowani przez stronnictwa lub grupy, przemawiali z trybuny. To tłok wszystkich ku trybunie (la ruée de tout le monde vers la tribune). Mówcy zmieniają się jeden po drugim i powtarzają się tak samo jak i wnioski".

Mimo to zdarzył się fenomen, niemal niewiarogodny — tu cytuję prof. Aulard — że tych 1.200 deputowanych, którzy gdy pracowali pojedyńczo lub w małych grupkach, nie byli zdolni do zwięzłych i jasnych sformułowań — znaleźli właściwe formuły, zwarte i szlachetne, we wrzawie dyskusji publicznej. W ciągu tygodnia bowiem z improwizowanych poprawek zbudowano gmach Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. Ma się wrażenie — pisze prof. Aulard — że to sam naród, który dzięki spontanicznym aktom stał się suwerennym, dyktuje Deklarację swym przedstawicielom... Bez zorganizowanych stronnictw, bez doświadczenia politycznego Konstytuanta potrafiła osiągnąć wielkie wyniki. Nowoczesne państwa zawdzięczają jej swoją strukturę prawną i technikę polityczną.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

Z dnia na dzień

ZBYTECZNY WERSAL

W organie zachowawców, dbających naogół o ton poprawny, czytamy takie zdanie: „W kołach zbliżonych do przedstawiciela protektoratu Czech i Moraw w Berlinie dr Chwalkovsky'ego wyrażają obawy itd.". Wobec Chwalkowskych i Hachów galanteria ta jest stanowczo za daleko posunięta i równie wydałaby się groteskową, gdybyśmy pisali: „W kołach zbliżonych do dr Al Capone'a wyrażają obawy itd.". Dostojność słowa przy nazwisku prezydenta Masaryka obowiązuje, przy nazwisku Hachy lub Chwalkowsky'ego jest obrażającą przesadą. Siląc się na największy wersal, należałoby właściwie tak pisać: „W kołach zbliżonych do sprzedawczyka Chwalkowsky'ego, naturalnego przedstawiciela haniebnego protektoratu itd.".

HACHA STRASZY!

Nigdy nie będzie dosyć powtarzania, że to właśnie stu-procentowi „narodowcy", faszyści, anty-masoni, anty-marksiści, w strachu i nienawiści do własnego ludu oddali Czechy i Słowację w kajdany najstraszniejszej niewoli. Nigdy nie będzie dosyć przypominania, że to właśnie czerwone Kładno i Morawska Ostrawa pozostały ośrodkami oporu przeciwko najeźdźcy, że poszli do obozów koncentracyjnych socjaliści i demokraci, lewicowcy i klasowcy a witali, wyciągniętą po hitlerowsku prawicą, wkraczające wojska okupanta — wodzowie faszyzmu, nacjonalizmu, reakcji czeskiej i słowackiej. Nigdy nie będzie dosyć wskazywania, że to właśnie agentów niemieckich z Vlajki czeskiej, właśnie Targowiczan z Hlinkowej Gardy narzucała nam jako „przyjaciół Polski" cała nasza własna reakcja.

Hacha straszy! Straszy nie tylko w Czechach. Straszy w Rydze i w Tallinie. Straszy w Budapeszcie i w Belgradzie. Straszy, jak ongi w latach jakobinów straszyła Targowica. Straszy dlatego, bo wszędzie tam są grupy i grupki, bliskie rządów lub marzące o rządach, którym milsza jest władza, choćby pod protektoratem nowego żandarma Europy, od dopuszczenia do głosu własnego ludu. Reakcja węgierska np. zgrzyta zębami, ale strach przed reformą rolną pcha ją w objęcia Hitlera. Ośrodki totalizmu jugosłowiańskiego widzą niebezpieczeństwo, grożące całości kraju, ale strach przed dopuszczeniem do rządów demokratycznej chorwackiej opozycji dyktuje im coraz to nowe podróże do Berlina. I tak jest wszędzie.

TOTALIZM — WYLĘGARNIA HACHÓW

Tutaj, w tej głębokiej sprzeczności pomiędzy własnym narodem a każdym nowo-rodzącym się totalizmem tkwi źródło totalistycznego kapitulanctwa wobec mocarstw osi. Tutaj tkwi źródło zjawiska, któremu na imię Berlintern, czy, jak to nazwał niedawno jeden z dzienników morżowych, Nazintern. Minęły czasy, kiedy ruchy faszystowskie zwyciężały siłami własnej, miejscowej reakcji, wspomaganej subwencjami pieniężnymi trustów światowych. Skończyły się — na Hitlerze — czasy wielkich, masowych ruchów faszystowskich, zalewających całe kraje. Degrelle, Lappo finlandzkie, Doriot we Francji bici są stale, systematycznie, niemiłosiernie. Trzeba bezpośredniej pomocy zbrojnej osi, trzeba włosko-niemiecko-marokańskiego najazdu na ziemie hiszpańskie, by „narodowo-hiszpańska" kukła Berlinternu mogła rządzić w Madrycie. Trzeba pułków Reichswehry w Pradze i Bratysławie, by Vlajki czy Hlinkowe Gardy mogły rozprawić się z demokracją i ruchem robotniczym w Czechach i na Słowacji. Trzeba było, conajmniej, „klimatu politycznego", stworzonego w Europie przez Hitlera i Mussoliniego, by coś w rodzaju totalizmu mogło objąć ster rządów na Łotwie i w Estonii.

Dobrze o tym wiedzą wszyscy totaliści i kandydaci na totalistów. Dobrze zdają sobie sprawę z tego, że losy totalizmu, losy faszyzmu jako prądu dziejowego zależne są od losów Hitlera. I właśnie dlatego — sympatyzują z Hitlerem, ratują go, popierają go, gdzie mogą.

Duff Cooper zacytował przed kilku dniami hołd hitlerowskiego „Völkischer Beobachter" dla paryskiej „Action Française", która, podług słów organu naczelnego Trzeciej Rzeszy „jedyna we Francji prowadzi nadal niezmordowanie walkę przeciwko wszelkim próbom okrążenia Niemiec przez Anglię i Francję". Konserwatysta angielski nie mógł zrozumieć, jak organ najbardziej bojowego nacjonalizmu francuskiego może nada-

wać się do takiej roboty pour le Führer de la Grande Allemagne. Ale takich „Action Française“ jest wiele, i to nie tylko we Francji.

KIM SĄ CI PANOWIE?

Stosunkowo najmniej niebezpieczne są agenury płatne, takie małe pionki Goebbelsowej propagandy. Casus Łończyk wykazał, że tego rodzaju osobistości mogą się przedostawać wcale daleko i wysoko. Sprawa „Śląskiej Prawdy“ również każe pod tym względem mieć się na ostrożności. Jest jeszcze parę pisemek, podobnych do tego czcigodnego organu, zgłaszającego się do „Stürmera“ po subwencje.

Koneksji tego typu jest więcej. Dowiedzieliśmy się ze zdziwieniem, że właśnie w tej chwili jakichś dwóch polskich dziennikarzy wzięło udział w konkursie „nagrody San Remo“, przeznaczonej dla cudzoziemców, autorów rozpraw, wychwalających ustrój faszystowski. Bardzo to było pięknie z ich strony, zwłaszcza jeśli uwzględnić, że właśnie wtedy prasa faszystowska rozpisywała się szeroko na temat „powiewu głupoty“, unoszącego się ponoć nad Wisłą.

Są rzeczy jeszcze lepsze. Oto okazuje się, że na zjazd dziennikarzy, organizowany przez p. Goebbelsa w Berlinie, wybierają się—znowu właśnie w tej chwili! — również jacyś dziennikarze polscy. Zjazdy dziennikarskie w Berlinie — to odprawy prasowych agentów Berlinternu. Co mogą tam robić w tej chwili Polacy? I jak zachowają się tam oni w chwili, kiedy p. Goebbels powtórzy tam swe, znane nam już z jego gdańskiej mowy, „złote myśli“ o Polsce?

Opinia publiczna Polski powinna być informowana o tym, kto w chwili obecnej bierze udział w konkursach faszystowskich i jeździ na goebbelsowskie zjazdy. Choćby po to, by mogła później należycie ocenić wywody publicystyczne tych panów...

WESTCHNIENIA I GNIEWY

Ale, powtarzamy, te płatne lub półpłatne agentury są rzeczą mniej ciekawą. Dowiemy się zresztą o nich — miejmy nadzieję! — szczegółowo w tym dniu, kiedy otworzą się archiwa Erfurtu i Wilhelmstrasse. Narazie trudno wdawać się w szczegółowe rozważania, mogące skrzywdzić niesłusznie ludzi osobiście zupełnie bezinteresownych. Ważniejsze jest natomiast coś innego: wykazanie, jak partyjne zaślepienie faszystów, jak sympatie ideologiczne skłaniają naszą reakcję wręcz do ślepoty politycznej.

Przeczytajmy taką „Politykę“! Przecież p. Bocheński jeszcze 4 czerwca wzdycha na jej łamach do „porozumienia z Niemcami, które na przeciąg pięciu lat dało obu narodom bezcenne wzmocnienie“. Obu? Organ armii określił pakt z przed pięciu lat jako próbę uśpienia czujności Polski. P. Bocheński, choć znajduje piękne słowa dla wyrażenia naszej gotowości walki, dotąd niezupełnie przebudził się z uśpienia...

Przeczytajmy „List Otwarty do p. min. Goebbelsa“ Bolesława Wasylewskiego w „Czerwonej Róży“. Przecież to jedno westchnienie do tych pięknych czasów, kiedy p. Goebbels, mówiąc słowami p. Wasylewskiego, „w polskiej stolicy od polskiej publiczności (dodajmy, odpowiednio dobranej — Przyp. „Epoki“) za wygłaszanie hilerowskich zasad otrzymywał huczne brawa“. Przecież p. Wasylewski jakby się usprawiedliwiał, że to tylko hitlerowski brak umiarkowania stawia go dziś wobec tragicznej konieczności nie oklaskiwania p. Goebbelsa.

Przeczytajmy, jak inny pisarz polski, p. Łaszowski (ten sam, co ambasadorował do Henleina i Codreanu!) streszcza z nietajoną sympatią skargi młodego hitlerowca na ciężką dolę Rzeszy, „skazanej na wojnę o surowce i środki żywności“, jak, dnia 11 czerwca, w chwili, gdy Rzesza koncentruje „turystów“ w Gdańsku stwierdza: „Przeciwko Hitlerowi zmobilizowano dziś wszystkie ciemne siły i mafie międzynarodowe. Masoneria całego świata rusza do ataku, chce zorganizować krucjatę filosemicką“. Czyż nie wynika z tego, że, w takim razie „jasnymi siłami“ historii są pp. Hitler, Goebbels, Rosenberg? I wątpimy, czy przeciętnego czytelnika p. Łaszowskiego bardzo przekona oświadczenie następne, że w interesie polskiej racji stanu leży, by te ciemne siły i mafie odniosły zwycięstwo. Agitator hitlerowski, ulotka z hitlerowskiego samolotu, speaker hitlerowskiej radiostacji napotka u czytelników p. Łaszowskiego na przygotowany już grunt....

P. IPOHORSKI - LENKIEWICZ ZACZYNA GROZIĆ

Ale nawet p. Łaszowski blednie wobec ostatniego wyskoku, na jaki pozwala sobie w najnowszej „Czerwonej Róży“ p. Ipohorski-Lenkiewicz.

P. Ipohorski jest gniewny. Oburza go, że nie tylko apel Ozonu o glajchszaltung wszystkich kierunków politycznych pod komendą m. Bogusława Miedzińskiego spotyka się z zupełną obojętnością społeczeństwa, ale — ponadto — coraz głośniej słychać „bezeceństwa i brewerie“ (tak jest!) w rodzaju żądania „oddania Ozonu na F.O.N.“.

P. Ipohorski-Lenkiewicz deklaruje twardo i donośnie: „Obóz legionowy, jak ponosił dotąd odpowiedzialność za państwo, tak ponosi ją nadal i bynajmniej jej wyrzekać się nie myśli... Pod tym względem nie należy mieć żadnych złudzeń. Obóz legionowy w stosunku do stronnictw nie jest więc czynnikiem równorzędnym

---

Polska musi być zdolna nie tylko do szybkiego zmobilizowania sił już gotowych, ale także do wydobycia tych, które znajdują się w niej potencjalnie.

Politycznie i gospodarczo społeczeństwo znajduje się w stadium przebudowy. Koncepcje tej przebudowy reprezentowane przez tzw. grupę rządową raczej hamują ten proces na szkodę energii społecznej tkwiącej w szerokich masach obywateli.

Tworzenie systemu, któryby nie wynikał z najszerszych dążeń, skazuje ten system z góry na brak rezonansu społecznego, wywołuje przerosty wpływów zbiurokratyzowanej administracji, prowadzące do wytwarzania atmosfery niechęci i pogłębiania rozdziału między rządzącymi a rządzonymi. Społeczeństwo odrzuca i potępia stanowczo wszelkie próby eksperymentów totalistycznych...

O Rzeczpospolitą walczyć dziś będą, jeśli przyjdzie tego potrzeba, wszyscy jej obywatele bez różnicy narodowości i wyznania. Przyjmując tę gotowość najwyższej żołnierskiej ofiary, ofiary krwi i życia, Państwo Polskie musi swój stosunek do mniejszości narodowych oprzeć na zasadach ustrojowo-politycznych odpowiadających całkowitej sprawiedliwości, zapewniając równe prawa wszystkim i przywracając tym samym Polsce sympatię i szacunek, jakie pozyskała sobie demokracja polska, nawet w latach niewoli walcząc o każdą sprawę wolności.

Z uchwał Zarządu Głównego Stronnictwa Demokratycznego.

ale — nadrzędnym... Żadne wobec tego powoływania się na wyniki wyborów samorządowych, żadne obliczenia, jaki procent głosów otrzymał w nich OZN, nie mają żadnego znaczenia". Tako rzecze p. Ipohorski-Lenkiewicz.

A tym którzyby nie chcieli usłuchać tych „dicta acerba" p. Lenkiewicz zaczyna poprostu grozić: Oto — głosi — na jesień przyjdzie „radykalna zmiana metody". Czas — krzyczy p. Lenkiewicz — na „likwidację łagodnego kursu w polityce wewnętrznej". Czas na „bolesne wyrównywanie rachunków, zaległych rachunków, których lista jest już teraz dostatecznie długa"! Albo opozycja pójdzie do ozonowej Canossy albo „niech zainteresowani (ewentualnie poszkodowani — Przyp. p. Ipohorskiego) mają pretensję tylko do siebie".

Niestety, nie możemy wdawać się w polemikę z p. Ipohorskim. Nie możemy rozważyć wielu pytań nasuwających się tu same przez się, pytań, na które odpowiedź wcale nie byłaby taka niewątpliwa, jak to się zdaje p. Ipohorskiemu. Ale ostatecznie — mniejsza o to, kto by naprawdę ostatecznie był „poszkodowany" z grup politycznych polskich w czasie tego „wyrównywania rachunków". Bo o wiele ważniejsza jest rzecz inna: że ostatecznie poszkodowaną byłaby — Polska.

Bo czy doprawdy jest ktoś w Polsce, kto wierzy, że w czasie, gdy p. Ipohorski-Lenkiewicz zajmowałby się „regulowaniem rachunków", wiadomi „turyści" w Gdańsku ograniczyliby się do łowienia fląder bałtyckich? Że, w chwili, gdy w Polsce Ozon zajmowałby się łamaniem kości opozycji, nie stanęłaby znowu, odpowiednio zaktualizowana, sprawa słynnej autostrady przez Pomorze?

Trzeba doprawdy, jakiegoś zupełnego, najciaśniej partyjnickiego zaślepienia, by nie rozumieć, że tego rodzaju artykuły w chwili obecnej to praca nie dla wzmożenia ale dla poderwania obronności Polski.

ŻOŁNIERZ I LUD

Dobrze dlatego stało się, że właśnie w tych samych dniach, kiedy ukazał się artykuł p. Ipohorskiego, „Polska Zbrojna" organ armii, pisze najwyraźniej o solidarności ze światem demokratycznym, o ułożeniu stosunków w myśl zasad sprawiedliwości i słuszności. Jakże to dalekie od gróźb rozmaitych Ipohorskich, od dwoistości różnych Łaszowskich. A jak bliskie stanowisku całego ludu polskiego, nie tylko zwolenników Stronnictwa Ludowego, w imieniu którego ostatni „Piast" tak słusznie oświadcza:

„Mimo, że nam tak pragną obrzydzić ustrój demokratyczny, w którym władza zwierzchnia należy do narodu, my ludowcy pozostaniemy przy demokracji w przekonaniu, że w ten sposób przygotowujemy państwu dzielnych obrońców, „dźwigamy Polskę wzwyż" — z dzisiejszego zastoju i zacofania, z nędzy, „władnej całemu pokoleniu" — ku postępowi, dobrobytowi, kulturze mas, sprawiedliwości społecznej".

ICH WALKA Z ANTYSEMITYZMEM

W warszawskiej Radzie Miejskiej, gdzie Ozon, endecja i ONR poprostu licytują się w antysemityzmie, prawdziwie żałosna jest rola znikomej grupki sanatorów żydowskich (wobec 17 radnych z Bundu). Z jednej strony nie mają ochoty zadzierać z Ozonem — z drugiej strony trzeba przecież jakoś przyzwoicie „wyglądać" wobec swych, bardzo zresztą nielicznych, wyborców żydowskich.

Gdy niedawno dostali od naczelnego organu polskiej sanacji cięgi za głosowanie przeciw budżetowi miejskiemu, naczelny organ sanacji żydowskiej „Nasz Przegląd", wyraźnie zastraszony sumitował się, że pp. Trockenheim i Ska **musieli** tak postąpić, żeby nie dać się zdystansować przez Bund, który ustosunkował się negatywnie do budżetu! „Ich Przegląd" pisał dosłownie:

„W tych warunkach i żydowscy radni mieszczańscy nie mogli głosować pozytywnie, bo **oznaczałoby to, że Bund bardziej broni interesów narodowych ludności żydowskiej, niż stronnictwa narodowe.** Stąd ten **paradoks,** że „ugodowcy" musieli stać się... „buntownikami".

Więc dlatego tylko głosowaliście przeciw budżetowi, by nie skompromitować się do reszty przed ludnością żydowską — a nie dlatego, że naprawdę chcieliście przeciwstawić się antysemickiej polityce Ozonu i jego „narodowych" konkurentów? Zaprotestowaliście przeciw antysemityzmowi tylko dlatego, bo czuliście się przyciśnięci do muru przez Bund, który zwalcza antysemityzm na ratuszu? Czyż nie płynie stąd wniosek, że gdyby nie było Bundu w Radzie Miejskiej, to wy, żydowska sanacja, moglibyście udawać, że nie widzicie antysemickiej polityki pp. Paschalskiego, Bieleckiego i Kurcjusza?

Świetny paradoks: jak Bund rodzi bunt sanacji żydowskiej.

André Malraux

pisarz romantyczny

Zastosowanie epitetu „romantyczny" wobec André Malraux nie jest wprawdzie niczym nowym, jednak należy podkreślić, że używano go raczej retorycznie, nie wnikając, jak daleko sięga pisarskie braterstwo krwi między romantykami i autorem „Czasów Pogardy". Mówiono o egzotyźmie, o „podskórnym prądzie", lecz nie stało ciekawości, aby przekonać się, gdzie źródło tego egzotyzmu i skąd się bierze ów „prąd". Otóż wydaje się, że jedno i drugie wynika z romantycznego dziedzictwa Malraux. Egzotyzm jest tylko ramą, momentem o znaczeniu wybitnie dekoratywnym dla gry namiętności stanowiącej jądro utworu. Fakt to łatwo dostrzegalny dla czytelnika „Doli Człowieczej", „Zwycięzców", czy „Drogi Królewskiej".

Pewne uczucia, namiętności, szukają sobie ramy szczególnej, harmonizującej z ich barwą i rodzajem. Podobnie, jak Chateaubriandowi (przedstawiającemu zresztą krańcowo przeciwny biegun romantyzmu) potrzebne były dla pustelniczego schronienia „vague des passions", lasy i stepy Ameryki Północnej, tak Malraux dla wyzwolenia przenikającej go woli czynu trzeba egzotyzmu naturalnego i społecznego zrewoltowanych Chin, azjatyckiego régime'u Niemiec hitlerowskich, lub egzotyzmu braterskiego zjednoczenia w walce przeciw dzikiemu ujarzmicielowi faszystowskiemu. Trzeba mu ram i obszarów tak wielkich i potężnych, aby zmieścił się w nich bezmiar pragnień i woli, tworzących pisarza-bojownika. „Podskórny prąd" zaś w powieściach Malraux należy

do zgoła innej części spadku romantycznego. Sięganie po nieświadome instynkty, wkraczanie na nieznaną ziemię uczuć ukrytych, niepokojących, mrocznych, właściwe jest wszystkim poetom wielkiego romantyzmu.

„Człowiek — powiada Goethe — musi zstępować w nieświadome, gdyż tam tkwią korzenie jego istnienia".

Malraux idzie za wskazaniem Goethego i dociera aż do „korzeni ludzkiego istnienia", do tych nieznanych pokładów, co budzą się ze snu w obliczu śmierci. Lecz czyni to w sposób różny od romantyków. Jak sam się przyznaje, przyswoił sobie Malraux metodę pisarską Dostojewskiego i operuje jego narzędziem odkrycia psychologicznego.

I tak w przeżyciach jednostek lub masy Malraux na wzór Dostojewskiego stara się wiązać fakt psychologiczny z faktem konkretnym. Nie zawsze udaje mu się przeprowadzić to konieczne dla materialisty powiązanie w sposób przekonywujący. W „Drodze Królewskiej" np. wyzwala się pewna mistyka woli czynu. I wiara w realność materialnych pobudek czynu ginie w obliczu śmierci Perkena, która w dziele Malraux stanowi punkt kluczowy, moment negacji życia.

Romantyzm Malraux jest — jak by to określił Brzozowski — właśnie **romantyzmem negacji.** Tworzy go bunt, zaprzeczenie stosunków społecznych, negacja odrębnego bytu. I jest również romantyzmem sprzeczności, gdyż negacja jednostkowej egzystencji idzie tu w parze z wybujałym indywidualizmem twórczym, a aplikacja sprawdzianów materialistycznych do zjawisk życiowych napotyka na przeszkodę w postaci skłonności metafizycznych romantyka.

W powieści „Nadzieja" występują z wybitną jaskrawością cechy romantyczne twórczości Malraux. Zarówno to zdanie, jak i charakter ostatniego dzieła Malraux wywołać mogłyby pewne wątpliwości.

Na pierwszy rzut oka „Nadzieja" wydawać by się mogła niejako reportażem z wojny domowej w Hiszpanii, pozbawionym zgoła tych elementów subiektywnych, które innym dziełom tego pisarza nadają oblicze romantyczne. Jest jednak inaczej.

„Nadzieja" stanowi **epopeę romantyczną,** a pierwiastek subiektywny i uczuciowy występuje tam w formie odrębnej, bodaj że po raz pierwszy tak ucieleśniony w historii literatury.

Należy pamiętać o tym, co powiedział Malraux w swojej słynnej przedmowie do „Czasów Pogardy": „Historię uczucia we Francji w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu można by nazwać agonią męskiego braterstwa".

„Nadzieja", **tragedia masy,** nie jest niczym innym, jak właśnie najpełniejszym wyrazem tego uczucia męskiego braterstwa. To właśnie męskie braterstwo, zbudowane na powszechnym pragnieniu wolności, braterstwo broni i walki łączący w „Nadziei" obrońców republikańskiej Hiszpanii.

Znajdujemy je w ową noc „krwi i chwały", która na ulicach miast hiszpańskich połączyła ludzi różnych i przeciwnych kierunków politycznych, ludzi różnych warstw, lecz zespolonych jednym pragnieniem i jedną wolą — walki z faszyzmem.

„Nadzieja" jest epopeą i tragedią masy. Można łatwo dostrzec, że autor usiłował zamknąć tu życie jednostek w życiu masy i nie pozwala wydzielać odrębnych egzystencyj ze zbiorowości działającej.

Najwyraźniej moment ten występuje w scenie egzekucji wziętych do niewoli republikanów. Wszyscy oni są nawet w obliczu śmierci żołnierzami walczącej armii ludowej i witają pluton egzekucyjny podniesioną pięścią. Wola zachowania indywidualnego życia nie gra tu roli. Wystrzały plutonu nie likwidują zbiorowości — oto znaczenie tego fragmentu. W egzystencji historycznej człowiek przeżywa własną śmierć — oto jego formuła.

Mamy tu więc element romantyczny niepośledniego znaczenia. Wyjaśnia to również sens koncepcji męskiego braterstwa.

Podobne odkrycie źródeł i motywów heroizmu znajdujemy w „Doli Człowieczej". Lecz grają tu rolę również i inne czynniki. I tak bohaterstwo wyrasta tu z obawy — po prostu ze strachu, z uczuć najprostszych, „podskórnych". Np. samobójstwo działaczy, uwięzionych przez rząd chiński, jest jednocześnie aktem bohaterstwa i sublimacją strachu. Podobnie w „Nadziei" godne przyjęcie śmierci przez przewódcę ludowego, Hernandeza nie jest niczym innym, jak pewnym specyficznym wyrazem odrętwienia.

Malraux jest mistrzem w odkryciach tego rodzaju. Na przestrzeni „Nadziei" dostrzega się ich wiele. Rosnący niepokój z nadejściem nocy, nadzieja budząca się pod wpływem odgłosów łomotania kolbami o podłogę. Znajdujemy nieprzebrane mnóstwo tych drobniejszych i większych **studiów,** bo każda taka scenka jest właściwie studium psychologicznym.

Ta metoda pisarska charakteryzuje Malraux, jako ciekawą symbiozę romantyzmu, psychologizmu i marksizmu. Jak te trzy sprzeczne elementy godzą się, to już tajemnica geniuszu, który przypadł w udziale najdziwniejszemu z romantyków XX stulecia.

KAZIMIERZ LUK.

O samorodnej literaturze chłopskiej

Wieś i zagadnienia chłopskiej rzeczywistości znajdują w literaturze polskiej coraz to więcej odtwórców i coraz to więcej piewców. Na tak pozornie łatwy temat chłopski, wiejski, chłopskiej biedy i głodu rzuca się cała masa przeróżnych, ze wsią nie mających nic wspólnego pisarzy, którzy wieś realistycznie i autentycznie... zniekształcają, dorabiając się na świadomym wypaczaniu prawdy sławy i innych, bardziej namacalnych korzyści.

Jakiś podwórkowy megaloman, wychuchane cacko mieszczańskiego zacisza — opisuje wieś. Czy ją zna? Czy zna jej dole - niedole, biedę, głód? Aspiracje, chcenia, dażenia? Osiągnięcia chłopskie? Nie dziwota, że później w takiej książce wieś wychodzi jak nędzna poczwara, jak upiór. A na takich książkach-upiorach, czy książkach - tandetnej łatwiźnie wychowują się nowe bataliony „pisarzy" i „poetów", którzy znów dostrzegą na wsi autentyczne piwonijki, konwalijki, kąkolki, żytka i pszeniczki, może i chałupę nawet, może nawet oborę, a jeśli „pisarz" będzie „odważny" i „odkrywczy" — to pokaże i gnój (potrzebny chociażby do... rymu), ale w żadnym wypadku nie zobaczą prawdziwego chłopa, jego prawdziwej biedy, jego duszy, chceń, dążeń i osiągnięć.

Pokolenie Borynów i Kłębów, chociaż dawno już na wsi wymarło, pokutuje dotąd w literaturze polskiej, celebrując do ostatka swe nieistotne, niebyłe „posłannictwo". A gdzie są Rakoczowie? Literaci mieszczańscy piszący o wsi, zapomnieli, że obok Reymonta żył i pisał Orkan. Zresztą ci szkodnicy literaccy, paradebauerzy literatury polskiej są usilnie

popierani przez czynniki oficjalne. Nagrody nie dostał Czuchnowski, Skuza, Wiktor — dostali Kurek i Piętak, których książki są na wsi nieznane i nieuznane. Ale to nic. Wieś przecież uznaje Czuchnowskich i Skuzów, a nie Kurków.

Odruchem wsi przeciwko wypaczaniu prawdy jest literatura „samorodna“, terenowa, powstająca z ziemi, z dołu, bez pomocy i nakazów czy zachęty — jak często wbrew woli nieproszonych „opiekunów“ wsi. Chłopi chcą o sobie pisać sami, opowiadać sami, kulturę ludową tworzyć sami — tak, jak wespół z proletariuszem chcą przetwarzać zmurszały porządek społeczny. Świadczą o tym chociażby pamiętniki, ogłoszone przez Chałasińskiego w „Młodym pokoleniu chłopów“. Może ta samorodna, terenowa twórczość chłopska jest nieudolna, ale jest za to szczera, bezpośrednia, prawdziwa. Pisarz samorodny, to pisarz nieustannej walki, to bojownik o nowe jutro wsi, niezmordowany działacz, wykuwający nowe życie, nowy, sprawiedliwy ustrój. Jego twórczość to żywy protest przeciw zakłamywaniu wsiowej rzeczywistości. Jego podnietą jest bunt przeciw uświęconym, spleśniałym porządkom tego świata. Jest odważne i szczerze odkrywcze niszczenie obłudy, nieprawdy. Pisarze samorodni tworząc — walczą.

Chłopski pisarz samorodny, to przy tym wszystkim pisarz bez formalnego wykształcenia. Bo na szkołę nie starczyło. Nie jednemu z tych poetów, literatów wsiowych, szkoła w mieście zaśniła się jak najśmielsze marzenie, innemu się upiekło, bo był w szkole, ale go za niepłacenie wylali, a jeszcze innemu nawet sen o szkole przez głowę nie przeszedł. Los ich wszystkich jest jednakowo smutny i jednakowo ciężki. Melchior Wańkowicz w tak aktualnej znowu książce „Na tropach Smętka“, z okazji odwiedzin u poety mazurskiego Kajki, chłopa umęczonego przez brunatny, hitlerowski szowinizm, ubolewa, że Kajką nikt się nie zajął. A czy p. Wańkowicz wie, ilu to w wolnej Polsce podobnych Kajce poetów chłopskich się marnuje?

KAZIMIERZ NOWAK.

Zapiski bibliograficzne

Storm Jameson: I. Nowy Posiew. — II. Zmierzch Potęgi. Wyd.: „Płomień“, Warszawa.

Powieść pseudo-realistyczna, nie pretendująca do wartościowania zjawisk i poświęcona jedynie opisowi życia „jakim ono jest“, zasługuje na głębokie przemilczenie. Do zastanowienia nad literaturą tego rodzaju skłania głównie jej nadzwyczajna obfitość, a w daleko mniejszej mierze drobiazgowe opracowanie formalne, godne lepszej sprawy mistrzostwo cyzelatorskie, które powieściom takim daje polor i pozory wartości.

Niechęć do „tezy“ w beletrystyce skłania nieskończony szereg autorów do „rozciąglizny“ literackiej, do pisania powieści, złożonych z wielu tomów i całkowicie pozbawionych głębi.

Do płodów tej marki i gatunku należy seria Storm Jamesona, poświęcona opisowi „mijania pokoleń“ mieszczańskich w Anglii. Imitacja Galsworthy‘ego, oczywiście bez jego talentu, którego brak Jameson próbuje rekompensować walorami formalnymi.

Książka opiewa żywot kapitalistki starego typu w przedwojennych warunkach i w epoce światowej wojny, oraz wnuka tejże kapitalistki. Autor przechodzi **mimo** zagadnienia wojny, a najstraszliwszym rezultatem zawieruchy jest według niego to, że wyż wzmiankowany wnuk **nie kocha swej żony** po wojnie, tak jak w okresie przedwojennym. Straszne! Czytelnik gotów jest wpaść w rozpacz z powodu tego ochłodnięcia mister Mikołaja Roxby (tak bowiem zwał się ów młodzian).

Storm Jameson wykazuje skłonność do lekkiego traktowania idei, przeznaczając im skąpe miejsce na marginesie powieści. Ruch sufrażystowski i ruch socjalistyczny autor porozrzucał tu i owdzie w drobnych dawkach na przestrzeni swej książki, dla lepszego wrażenia.

Typowa powieść **bez tezy.** Można ją czytać z uczuciem błogiego spokoju podczas „długich zimowych wieczorów“. Nadaje się również na „lekturę w pociągu“.

KAZ. L.

★

Trudno, naprawdę, zrozumieć metody, jakimi kierują się u nas niektóre wydawnictwa przy kwalifikowaniu obcych powieści dla polskiego czytelnika. Nie wiadomo co decyduje o ukazaniu się tej, czy innej książki: — forma, treść, czy zgoła niskie honorarium autorskie. Zrozumiałe jeszcze jest intensywne tłumaczenie Wallace‘owskiej „literatury“. Nasza rodzima twórczość nie celuje, na szczęście, w tej dziedzinie. Jak jednak wytłumaczyć zalewanie polskiego rynku czytelniczego piśmidłami trzeciej i czwartej kategorii? W konsekwencji czytelnik polski otrzymuje za swoje kilka złotych miernotę i na domiar wyrabia sobie fałszywe z gruntu pojęcie o literaturze danego narodu.

Leżą przede mną tłumaczenia z angielskiego. I oto współczesne piśmiennictwo ojczyzny Shakespeara, Dickensa, Byrona, Shelleya, Wilde‘a, Shawa i Galsworthy‘ego — zaprezentowane nam zostało przez powieści, które na obecną twórczość literacką Anglii rzucają ponure światło. Zdajemy sobie sprawę z tego, że pisarze ci nie są bynajmniej reprezentacją współczesnego piśmiennictwa angielskiego. Niezorientowany czytelnik wyrobi sobie jednak pojęcie o literaturze brytyjskiej właśnie na podstawie tych i tym podobnych utworów. W takich wypadkach krzywda dzieje się nietylko czytelnikowi, ale — przede wszystkim — piśmiennictwu danego kraju. Przysporzenie literaturze polskiej dzieł pisarzy obcych winno odbywać się pod kątem dobra czytelnika i dobra literatury tłumaczonej. Inaczej, sama idea tłumaczeń mija się z celem.

E. M. Delafield: „Nie mam już domu“. Powieść. Przekład — **Xeni Żytomirskiej.** Str. 316 i 3 nlb. Warszawa. Powszechne Tow. Wydawnicze.

Autor angielski, przejąwszy się modnymi w Stanach Zjednoczonych rozwodami, usiłował rozpatrzeć tę sprawę od strony dziecka. Dziecko czy dzieci rozwiedzionego małżeństwa, pozbawione za wcześnie t. zw. ciepła rodzinnego „kochających się“ rodziców, zbyt wcześnie wyrzucone z rodzinnego inkubatora — zostają nagle wciągnięte w wir niezrozumiałych sprzeczności życiowych, stykają się nagle z oziębłością przybranego ojca czy matki, doświadczają egoizmu starszych itp. Stąd konflikt i, oczywiście, tragedia.

Problem, na ogół interesujący i godny rozpatrzenia, został jednak przez Delafielda postawiony odrazu błęd-

nie. Autor nie ustrzegł się ckliwości, nie wskazał na błędy wychowania, nie zanalizował też głębszych przyczyn tych „nagminnych“ tragedyj. Idealizacja małej Julci, przejaskrawienie jej bohaterstwa oraz instynktu macierzyńskiego wobec braciszka — to dla problemu jest nieistotne. Wszystko jest rażąco sztuczne, obliczone jedynie na łezkę anglosaskich panien z Armii Zbawienia. Po wielu perypetiach bohaterska Julka znajdzie wreszcie „swój dom“. Ale to sprawy odpowiednio nie oświetla.

Zagadnienie „bezdomności“ dzieci (bez względu na przyczyny) posiada swoje głęokie korzenie w ogólnej strukturze życiowej i metodach wychowawczych współczesnego małżeństwa. Autor „Nie mam już domu“ temat zwęził, a i ten wąski odcinek spaczył ckliwym, nieznośnym biadoleniem. *J. K. W.*

O etykę życia akademickiego

OŚWIADCZENIE ŁÓDZKICH DEMOKRATÓW

Przyszłością każdego narodu jest młodzież. „Młoda Polska“ w szeregu pokoleń epoki minionej była awangardą narodu. I wtedy, kiedy walczyła o wolność chłopa, aby go zorganizować do boju z najazdem, i wtedy też, gdy rodziła nowe idee, nowe kierunki twórczości ducha, nowe drogi rozwoju Myśli. Potęgą wysiłku inwencji i entuzjazmem samoofiary budowała w życiu każdego pokolenia świątynię idei wiecznie „nowej“, zawsze z młodością związanej, choć jak świat starej — idei postępu — Młodzież nasza pisała najpiękniejsze karty dziejów rycerstwa polskiego i historii kultury narodowej.

Młodzież nasza — źle wychowana przez nas — przedstawicieli starszego pokolenia — dzisiaj walczy na swych uczelniach o wypędzenie ze szkoły kolegów innego pochodzenia, o usunięcie przemocą konkurentów w przyszłym swym zawodzie, o restytucję moralności i obyczajów średniowiecza. Walczy nie słowem agitacji ale pałką, kastetem, nożem. Rzuca się tłumem na bezbronnych, maltretuje, niejednokrotnie, zabija. Ten niecny proceder uprawia przez szereg lat, pod osłoną eksterytorialności szkół akademickich, bezkarnie.

Zapewne, nie cała młodzież współdziała w tej „robocie“. Zapewne; bezpośrednio winnych jest garść stosunkowo nie bardzo liczna, kierowana zzewnątrz przez rasistowskich politykierów. Ale ogół młodzieży widzi to i toleruje.

Uważamy podobny stan rzeczy za ubliżający naszej godności i złowrogo szkodliwy dla zdrowia moralnego narodu. Czynniki **moralne**, najistotniejsza ostoja każdego społeczeństwa, nie mogą być w publicznej poniewierce nigdzie a tym mniej w murach wyższych uczelni. Zaszczepiona tam rebarbaryzacja obyczajów musi w konsekwencji spowodować upadek życia kulturalnego. I to w Polsce, nie w Palestynie.

Ostatni rok szkolny zaznaczył się szczególnym okrucieństwem wyczynów chuliganerii „akademickiej“. Powtarzające się wypadki morderstwa w murach wyższych uczelni nie mogły przejść bez echa. Odezwały się głosy ostrzeżenia. Memoriał profesorów uwydatnił przed oczyma ogółu moralną ohydę akcji bojówkarzy i ukrytych za ich plecami menerów.

Rozumiemy, że w danej chwili reakcja całej zdrowej części opinii polskiej winna być jednolita w potępieniu zarówno zbrodniczych wyczynów jak — w większym jeszcze stopniu — faktycznych reżyserów haniebnych scen. Rozumiemy też, że w dzisiejszym momencie dziejowym czas już najwyższy na tę jednolitą postawę. Jest dla nas wreszcie zupełnie jasnym, że kto chce walczyć z chorobą winien przede wszystkim starać się usunąć wywołujące ją przyczyny, w danym wypadku ów jadowity posiew nienawiści plemiennej czy rasowej, bezkarnie pleniącej się u nas od szeregu lat ku największej szkodzie nas samych a ku radości atakującego wroga.

Droga do naprawy stosunków na uniwersytetach wiedzie przez restytucję zasad etycznych i poszanowania nakazów obiektywnej sprawiedliwości w całym naszym życiu publicznym.

Zarząd Str. Demokratycznego Okręgu Łódzkiego

Sekretarz. St. Aletowa

Prezes. St. Więckowski

AUTONOMIA ZAGROŻONA

Walka z hitlerowską zarazą, szerzoną w Polsce przez **wszystkie** grupy reakcyjne, jest najskuteczniejszą metodą uzdrowienia zastraszających stosunków na naszych wyższych uczelniach.

Ale demokracja, a z nią cała odpowiedzialna i patriotyczna opinia polska, musi jak najbardziej stanowczo oprzeć się kuszeniom pewnych czynników antydemokratycznych, które radzą nam wyganiać diabła przy pomocy Belzebuba, w istocie rzeczy zaś pragną przy tej sposobności upiec swoją pieczeń partyjną. Już znany memoriał profesorów lwowskich, którzy przedstawili przerażający obraz stosunków akademickich, dał prasie ozonowej okazję do dyskretnych i — na razie — „aluzyjnych“ choć dostatecznie wyraźnych napomknień o... zniesieniu autonomii. Aluzje takie czytaliśmy np. w „Gazecie Polskiej“.

A kiedy w prasie demokratycznej (między innymi w „Robotniku“) stanowczo odrzucono ewentualność zwalczania hitleryzmu na wyższych uczelniach za pomocą... legalnej już, formalnej ich totalizacji, jaką byłoby przecież zniesienie autonomii — ozonowy partyzant „Zaczyn“ nie wytrzymał i puścił farbę.

Pismo to ubolewa otwarcie:

„Po prostu nie ma ugrupowania w Polsce, które by jasno i bez żadnych zastrzeżeń wystąpiło z zażądaniem (sic) zniesienia **autonomii wyższych uczelni**“ (podkreślenie oryginału).

Organ Ozonu piętnuje doktrynerstwo „przysięgłych liberałów z lewicy“, którzy potępiają wprawdzie chuligaństwo na wyższych uczelniach, ale „gdy przyjdzie do wyciągania wniosków, cofają się przed jedynym, zdecydowanym rozstrzygnięciem“. To znaczy: przed zniesieniem autonomii i ozonizacją szkół wyższych.

Gorzkie wyrzuty kieruje też „Zaczyn“ pod adresem pokrewnych sobie ideowo, lecz obcych organizacyjnie żywiołów faszystowskich z endecji:

„W teorii głoszą hasła pseudo-faszystowskie, pseudo-totalistyczne, walczą zajadle z wszelkim liberalizmem jako przeżytkiem, pełni zachwytu dla formy rządów w Niemczech i Italii. Z tego stanowiska znowu wynikałoby najlogiczniej dążenie do zlikwidowania autonomii, z którą wszelkie ruchy faszystowskie i antyliberalne załatwiły się gładko“.

„Zaczyn“ wygadał się i potwierdza to, co niejednokrotnie pisaliśmy.

Przeciwieństwa między Ozonem a endecją nie są zasadnicze, ideowe — lecz czysto taktyczne. Dotyczą dróg i metod totalizacji życia polskiego. Organ Ozonu zarzuca oto endecji, że hasła jej są **pseudo**-faszystowskie, **pseudo**-totalne, że nie prowadzą do wspólnego celu, przyświecającego **całemu** obozowi antydemokratycznemu — do monopartyjnego stotalizowania Polski. Jak wiadomo, kubek w kubek to samo zarzuca endecja Ozonowi. Ten konkurencyjny spór dwóch stronnictw antydemokratycznych odbywa się również na odcinku akademickim.

Ozon z zazdrością patrzy na endeckie wpływy wśród młodzieży. Mimo ogromnych wysiłków ozonowe organizacje akademickie nie zakorzeniły się na wyższych uczelniach, nie przyniosły uszczerbku endeckiemu stanowi posiadania. Zaledwie w Warszawie, drogą pośrednią, za pomocą ONR-owskiej dywersji, udało się sanacji uczynić pewien wyłom w szeregach endeckich. Na ogół jednak, w całej Polsce, Stronnictwo Narodowe mocno trzyma w swych rękach ster ruchu faszystowskiego na wyższych uczelniach. Ozonowi się nie udało i nie uda się.

Dlatego partia, kórej tęsknoty wypowiada w tym wypadku „Zaczyn", koniecznie chciałaby znieść autonomię uniwersytecką, żeby zdobyć bezpośrednią już, monopartyjną, kontrolę nad życiem akademickim i uzależniwszy je niepodzielnie od siebie wtłoczyć faszystowski ruch młodzieży w ozonowe łożysko. Uderzając w autonomię wyższych uczelni pragnąłby Ozon „załatwić się gładko" z endecką konkurencją.

Ale to jeszcze nie wszystko — i nawet nie najważniejsze. Ozon pragnie oczywiście zdystansować Stronnictwo Narodowe, odebrać mu „rząd dusz" młodzieży faszystowskiej, przeprowadzić ją pod swoją komendę. Jednocześnie jednak heroldowie monopartii nie chcieliby dopuścić do takiej ewentualności, kiedy rzesza akademicka — już dziś coraz wyraźniej buntująca się przeciw faszystowskiemu terorowi endeków — w wielkiej masie wystąpiłaby pod sztandarem demokracji do walki z hitlerowskim zdziczeniem na wyższych uczelniach. Demokratyczna młodzież akademicka, która co raz energiczniej przeciwstawia się zbrodniczej robocie endeckich bojówek, nie cieszy się przecież sympatią naszej monopartii. Młodzież endecką warto pozyskać — niech tylko zrozumie, że jej dotychczasowi przywódcy nie są **prawdziwymi** faszystami, **prawdziwymi** totalistami! Młodzi „narodowcy" — to przecież w gruncie rzeczy dobre faszystowskie chłopaki, tylko że ciągle jeszcze wierzą Stronnictwu Narodowemu. Co innego młodzież demokratyczna. Gdyby się jej udało zatrzymać i odrzucić wstecz zalewającą wyższe uczelnie falę endeckiego faszyzmu — Ozon bezpośrednio nic by na tym nie zyskał, a sprawa totalizmu doznała by niepowetowanej szkody, co i Ozonowi utrudniłoby sytuację.

Przeciw tej nieprzyjemnej ewentualności zwolennicy monopartyjnego przywileju pragnęliby się zabezpieczyć przez zniesienie autonomii i całkowitą ozonizację życia akademickiego.

Oczywiście endecji wcale się to nie uśmiecha. Nie chce ona, żeby Ozon glajchszaltując pod swą komendą życie akademickie wydarł jej wpływy wśród młodzieży. Obecny stan rzeczy na wyższych uczelniach dogadza przecież menerom Stronnictwa Narodowego. W ogólnych ramach systemu antydemokratycznego, gdy nie ma wolności i demokracji w życiu politycznym, sojusz reakcyjnej profesury z hitlerowskimi bojówkami młodzieży „narodowej" jest dla endecji najlepszym zabezpieczeniem jej stanu posiadania. Rzeczywiste niebezpieczeństwo grozi jej już dziś ze strony młodzieży demokratycznej i postępowych profesorów, którzy dobro nauki stawiają wyżej niż posady. Ale system antydemokratyczny paraliżuje walkę demokracji akademickiej o wolność nauki, o triumf człowieczeństwa na wyższych uczelniach. Faszyści mają w murach uczelni pełną swobodę — młodzież demokratyczna jest szykanowana, podobnie jak postępowi profesorowie. Endecki totalizm prosperuje w życiu akademickim — bo demokracja nie ma głosu w życiu państwowym. Nie jest prawdą, że wyższe uczelnie są jakimiś rezerwatami faszyzmu, oazami wstecznictwa na obszarze całego kraju, gdzie panują stosunki odmienne, czy nawet przeciwne. Nasze uniwersytety i politechniki są takie, jakie mogą i muszą być w warunkach naszej obecnej rzeczywistości politycznej.

Rzecz jasna, jeżeli sprawę uzdrowienia życia akademickiego wiążemy z zagadnieniem ogólniejszym, z problemem ustroju wewnętrzno-politycznego, nie znaczy to bynajmniej, byśmy uważali wszelką próbę naprawy stosunków uczelnianych **już dziś** — za utopię. Zarówno w murach szkół wyższych, jak i w całym kraju obóz demokratyczny walczy i będzie walczył z faszystowską zarazą, szerzącą się wśród młodej inteligencji polskiej. Użyje wszelkich wysiłków, by ślepym, **tępym** narzędziom hitleryzmu wyjaśnić haniebną rolę, którą spełniają z poduszczenia swych starszych „wychowawców", by ożywić w nich przygasły patriotyzm i poczucie odpowiedzialności za ojczyznę — a nieuleczalnych izolować, otoczyć kolczastym drutem potępienia i pogardy, unieszkodliwić.

Ale z tego nie wynika, by obóz demokratyczny miał napędzać Ozonowi zwolenników, by w sporze konkurencyjnym między endecją i sanacją, między dwiema partiami antydemokratycznymi, miał wypowiedzieć się, — ze szkodą dla wolności i nauki — za ozonowymi planami totalizacji życia akademickiego, by miał wyrazić zgodę na ozonizację wyższych uczelni. Wiemy dobrze, czego należy spodziewać się w wypadku realizacji tych planów, gdy czytamy w „Zaczynie":

„Absurdem jest podporządkowanie pełni zagadnień uniwersyteckich naukowcom, związanym jedynie ze swą specjalnością i nie posiadającym zdolności administracyjnych w dostatecznym stopniu, aby objąć skomplikowane arkany techniki państwowej i jej wymogów'.

I gdy organ Ozonu wyznaje z rozczulającą szczerością, że „państwo nie ingeruje w naukę, ale ingerować musi w nauczanie" — to tylko głupi nie dostrzegłby w tym zdaniu istotnych intencyj, które przyświecają sanacyjnym planom zniesienia autonomii.

Gdy kozioł chce być ogrodnikiem, nie wolno wierzyć jego zapewnieniom, że chodzi mu tylko o obronę sałaty i kapusty przed królikami. Bo i kozioł jest stworzeniem roślinożernym.

A. K.

Abonentów,

którzy

zalegają

z opłatą prenumeraty za

kwartał ubiegły i bieżący

prosimy

o uregulowanie

należności.

Kolumna rozmaitości

KARTA I.R.A.

Jest rzeczą jasną, że dążenia niepodległościowe Irlandii zawsze cieszyły się gorącą sympatią przeważającej części społeczeństwa polskiego. Kiedy dzisiaj, po zdobyciu tej niepodległości przez główny trzon narodu irlandzkiego, trwa jeszcze konflikt o skrawek Irlandii Północnej, tzw. Ulster, to demokracie polskiemu trudno nie sympatyzować z Irlandczykami, traktowanymi w sposób niezbyt demokratyczny przez utrzymujący się tam rozmaitymi sztuczkami przy władzy najbardziej reakcyjny odłam konserwatystów brytyjskich, tzw. „oranżystów", których reakcyjne, antyirlandzkie zapędy wielokrotnie musiał hamować sam Chamberlain. W społeczeństwie angielskim zresztą również bardzo mocne są prądy za dokonaniem ostatecznego pojednania z Irlandią drogą przyłączenia Ulsteru do reszty Irlandii. Ale wszystko to nie może zmienić bynajmniej ani na jotę naszego stosunku do obecnej akcji I.R.A.

I.R.A. (Irlandzka Armia Republikańska) powstała jako organizacja narodowo-rewolucyjna. Podobnie jak we wszystkich organizacjach tego typu, oblicze społeczne organizacji było, na zewnątrz przynajmniej, mocno niewyraźne. Mieścili się w niej zarówno wyraźni socjaliści, jak późniejszy twórca iryjskiego ruchu robotniczego Jim Larkin, jak i przedstawiciele bardziej prawicowych kierunków, którzy swego czasu, w r. 1917, znaleźli wspólny język z imperializmem niemieckim i oparli się o Rzeszę w walce przeciwko Anglii. Po powstaniu samodzielnej Irlandii, po objęciu w niej rządów przez dawnego wodza I.R.A. de Valerę, I.R.A stopniowo zaczęła tracić na znaczeniu, przy czym coraz wyraźniej następował podział jej na dwa skrzydła: socjalistyczno-rewolucyjne i nacjonalistyczno-reakcyjne. Wódz lewego skrzydła I.R.A., Frank Ryan, jeden z czołowych organizatorów ludu irlandzkiego, został właśnie kilka tygodni temu skazany przez sąd gen. Franco na 30 lat więzienia — dowodził on jedną z brygad międzynarodowych Republiki Hiszpańskiej. Przywódcy prawego, nacjonalistycznego skrzydła, podobnie jak przywódcy O.U.N. wśród Ukraińców w Polsce, poszli na żołd Berlina. Niedawno odbył się w Liverpoolu proces szpiegowski jednego z ich zaufanych — w związku z tym procesem rząd brytyjski zażądał odwołania konsula niemieckiego z Liverpoolu Niemieccy instruktorzy kształcą bojowców I.R.A., dokonywujących zamachów na kina, pomniki, urzędy pocztowe itd. Prasa niemiecka notuej z radością każdy ich wyczyn. Sean Russel, nowy wódz I.R.A. idzie inną drogą od Franka Ryana...

P. Goebbels uważa ponoć „kartę I.R.A." za niezwykle ważny atut w rozgrywce z Wielką Brytanią.

ŻĄDAJCIE „EPOKI" WE WSZYSTKICH KIOSKACH GAZETOWYCH, W CZYTELNIACH I KAWIARNIACH.

Książki nadesłane

Zygmunt Żuławski (n. t.): Refleksje. Wydawnictwo Komisji Centralnej Związków Zawodowych. Warszawa. 1939 r.

Dr. Henryk Strassburger: Dlaczego Polska nie może się dać odepchnąć od Bałtyku. Wydanie drugie. Biblioteka Polska. Warszawa 1939.

Jerzy Kornacki: Polonez. Część III. Wschód. Powieść. Wydawnictwo „Naszej Księgarni". Warszawa 1939.

Franciszek Surówka Brzegowski: Elegie. Nakładem Autora. Warszawa 1939.

Janusz Minkiewicz: Nic Świętego. Z 23 rysunkami J. Zaruby. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1939.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce zł. 1.—. w tekście. Za tekstem gr 60

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 640 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa, Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.